XVII—4 [5] LISTOPAD 1938

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

MIESIĘCZNIK

WADY MORALNE I STOPNIE ICH NASILENIA

Walka ze złem w nas nie może się ograniczyć do samego tylko wystrzegania się grzechów, ona winna sięgnąć głębiej i dotrzeć do tego źródła grzechu, jakim jest wada i ją starać się wykorzenić w tej mierze, w jakiej to jest możliwe. Stąd też rachunek sumienia nie powinien się tylko ograniczać do zastanawiania się nad pojedynczymi upadkami i wzbudzania za nie żalu. On powinien być czymś więcej. A mianowicie zastanawianiem się nad złymi skłonnościami, które w nas tkwią i które wciąż nas popychają do tych samych przewinień. Jeśli bowiem już sam obrachunek naszych grzechów pokazuje nam, że się one wciąż powtarzają, musimy dojść do wniosku, że mają one jakąś wspólną przyczynę, i do niej to trzeba dotrzeć, jeśli się chce naprawdę uzyskać w tej dziedzinie jakąś po-

prawę. Dopiero przy takiej pracy nad sobą można dojść do trwalszych rezultatów. Wymaga ona głębszej znajomości siebie, którąby nam odkryła te dziwne kompleksy naszej zmysłowo-duchowej natury, zdolne już to do dobrego już to do złego nas skłaniać i wymagające z naszej strony bardzo czujnej kontroli i usilnej pracy samowychowawczej.

Znajomość siebie jest tu tym ważniejsza, że mamy do czynienia nie z ogólnymi składnikami naszej natury ludzkiej, które wzięte w oderwaniu, są u wszystkich ludzi takie same, ale z cechami i właściwościami indywidualnymi, które wprowadzają dość daleko idące różnice między ludźmi. Najprostsza obserwacja nas uczy, że jedni są łakomi, a drudzy bardzo mało zwracają uwagi na jedzenie, jedni wciąż podlegają poruszeniom gniewu, inni ich odczuwają bardzo mało, jedni mają skłonność do wysuwania siebie naprzód i zajmowania sobą uwagę innych, drudzy przeciwnie raczej wolą zostawać w ukryciu. Przykładów takich możnaby dać jeszcze wiele więcej.

Pomimo tej rozmaitości nietrudno spostrzedz, że te same złe skłonności spotykamy u rozmaitych ludzi i że aczkolwiek przybierają one rozmaite formy i występują z różnym nasileniem, to jednak mają coś wspólnego, co pozwala o nich mówić jako o pewnej określonej kategorii zła. Na tym polega doniosłość ich poznania i badania. Gdy się bowiem pozna te ogólne cechy złych skłonności, które się najczęściej u ludzi spoty-

kają, jak gniew, nieczystość, łakomstwo i inne, łatwiej będzie sobie je w sobie uświadomić, a następnie i zabrać się do wykorzenienia, korzystając z doświadczenia innych.

Od czasów starożytnych zwrócono już na to uwagę, że jest kilka złych skłonności natury ludzkiej, które, gdy się silniej zakorzenią w duszy i przejdą w stan wady, mają jakiś większy zasięg działania od innych i stają się pobudką do wielu grzechów. Wady te nazwano głównymi, i aczkolwiek rozmaicie je dzielono i rozmaicie je uzasadniano w ciągu wieków ich podział, to jednak w nauce o nich zawarto wiele bardzo cennych spostrzeżeń i wskazówek wychowawczych.

Nim jednak zajmiemy się wadami głównymi zatrzymajmy się najpierw na samym pojęciu wady i przyjrzyjmy się tym stopniom nasilenia, które one w życiu ludzkim przybierają. Wiemy bowiem i z własnego doświadczenia i z obserwacji otaczającego nas świata, że ludzie nie w równym stopniu dają się opanować rozmaitym złym skłonnościom, które się gnieżdżą w ich naturze na skutek rozdźwięku wprowadzonego do niej przez grzech pierworodny. Jedni bardzo stanowczo z nimi walczą, i jeśli one ich pociągną czasami, to jakby mimo ich woli i na krótko, inni przeciwnie całkowicie im się poddają, udzielając im jakby na stałe prawa obywatelstwa w swych duszach i ich impulsami wciąż się w życiu kierując. Są wreszcie i tacy, którzy stoją jakby na rozdrożu między tymi dwoma kategoriami: nie poddają się jeszcze całkowicie tej lub

innej złej skłonności, która ich nęka, ale też nie chcą z nią stanowczo walczyć i często czynią jej ustępstwa w rzeczach mniejszej wagi.

Dla lepszego rozróżnienia tych trzech stanowisk przyjrzyjmy się ich stosunkowi do grzechu. W grzechu też możemy rozróżnić trzy stopnie nasilenia zależnie od stopnia, w jakim nas odwraca od Boga i od stopnia w jakim jest z naszej strony dobrowolny. Grzechem śmiertelnym, jak wiadomo, jest uczynek, który nas zupełnie od Boga odwraca jako następstwo świadomego wyboru między dobrem nieskończonym a dobrem skończonym doczesnym; na to aby mieć jednak charakter grzechu śmiertelnego wybór taki winien być całkowicie dobrowolny a więc popełniony z całą świadomością a nie z nieuwagi lub pod wpływem nagłego uczucia, które do niego popchnęło nim człowiek się zdołał zastanowić. Nie idzie zatem aby człowiek miał przed każdym grzechem śmiertelnym osobno się zastanawiać nad złem w nim zawartym i osobno dawać na nie dobrowolne przyzwolenie. Nieraz bowiem — i jak zobaczymy, to będzie cechą charakterystyczną formalnej wady — przyzwolenie to dał sobie raz na zawsze i teraz przy każdej sposobności daje folgę tej skłonności, nie troszcząc się zupełnie o to czy go od Boga odwraca czy też nie.

Inaczej się rzecz ma z grzechem powszednim, który, jak wiemy, nie odwraca nas całkowicie od Boga, ale jakby zatrzymuje na drodze do Niego. Nie ma w nim wyboru między Bogiem, a stworzeniem, bo to czym się grzech powszedni daje

pociągnąć nie przeciwstawia się tak radykalnie miłości Boga i bliźniego; jest to jakby marudzenie na drodze, po której powinniśmy postępować, zboczenie z niej, ale nie odwracanie się i kroczenie w odwrotnym kierunku, jak to ma miejsce w grzechu śmiertelnym.

Otóż i grzechy powszednie mogą być mniej lub więcej dobrowolne. Człowiek może całkiem świadomie i dobrowolnie przestąpić przykazanie boże w materii, o której wie dobrze, że grzechem śmiertelnym nie jest np. skłamać bez szkodzenia bliźniemu. Dobrowolność nie może — ma się rozumieć — sprawić, aby taki grzech stał się śmiertelnym aczkolwiek może on bardzo obciążać sumienie. Stąd termin „grzech ciężki" odnosi się nie tylko do grzechów śmiertelnych, które są ciężkimi obiektywnie i subiektywnie, ale i do powszednich całkiem dobrowolnych, które mogą subiektywnie bardzo obciążać sumienie i hamować w duszy działanie boże, choć łaski uświęcającej jej nie pozbawiają.

Grzechy powszednie mogą jednak być też i nie całkiem dobrowolne, a ma to miejsce gdy uprzedzają zastanowienie, i nie są następstwem uprzedniego dobrowolnego zezwolenia, aby gdy tylko się trafi okazja, dany uczynek popełnić. Św. Franciszek Salezy nazywał tego rodzaju grzechy powszednie niedoskonałościami, podczas gdy terminem „grzech powszedni" posługiwał się dla oznaczenia grzechów powszednich zupełnie dobrowolnych. I my w dalszym ciągu będziemy się tą terminologią wielkiego Doktora posługiwać.

Gdy teraz zestawimy tę naukę o stopniach grzechu z zagadnieniem, któreśmy sobie postawili odnośnie do stopnia nasilenia wady, to wnet zobaczymy że o formalnej wadzie tam tylko może być mowa, gdzie jest to stałe usposobienie woli, aby dany uczynek przeciwny prawu Bożemu zawsze popełniać, gdy tylko się trafi po temu sposobność. Gotowość posunięcia się aż do grzechu śmiertelnego, aby zaspokoić grzesznemu pociągowi, to jest to, co stanowi cechę wady już całkowicie ugruntowanej w duszy i nie spotykającej sprzeciwu sumienia, które już zostało zagłuszone przez dłuższe nierachowanie się z jego żądaniami. Zupełnie zabić go nic nie może i od czasu do czasu będzie się ono odzywać w tej lub innej formie czy to niezadowolenia lub niesmaku, czy też smutku lub strachu, ale głosy te będą coraz słabsze i coraz trudniej będzie je ożywić i zdobyć dla sumienia posłuch woli zbyt już opanowanych przez zło. Gdzie jest jeszcze walka, gdzie głos sumienia wciąż jeszcze ostrzega i próbuje wstrzymać od grzechu, tam wada nie jest jeszcze ostatecznie ugruntowana i wykorzenienie jej jest, ma się rozumieć, łatwiejsze.

Natomiast zupełnie nie można jeszcze mówić o wadzie tam, gdzie jest dobra wola, aby nigdy dobrowolnym grzechem Boga nie obrazić i to nie tylko śmiertelnym ale i powszednim. Od tych nie całkiem dobrowolnych grzechów, które uprzedzają zastanowienie i które nazywamy niedoskonałościami nikt nie jest w stanie całkowicie się uchronić, bo one są w dzisiejszym stanie

natury ludzkiej pozostałościami grzechu pierworodnego; ale one świadczą tylko o istnieniu złej skłonności, bynajmniej jednak nie dowodzą, aby miała to już być zakorzeniona wada. Przeciwnie, ktoś, ktoby stale trwał w takim nastawieniu woli, aby nigdy dobrowolnie za złą skłonnością nie pójść, składałby dowód, że posiada już to, co jest najważniejszym składnikiem cnoty t. j. stałe usposobienie w wyższych duchowych władzach; z czasem i niższe zmysłowe władze nabrałyby podobnego usposobienia i skłonności łatwego ulegania impulsom rozumu i woli, co razem dałoby już dojrzałą cnotę usprawniającą do czynów danej kategorii wszystkie czynniki duszy.

Nie całkiem dobrowolne wykroczenia przeciw cnocie bynajmniej nie świadczą że jej nie posiadamy, żadna bowiem cnota podobnie jak żadna wada nie opanowuje do tego stopnia władzy, aby uniemożliwić jego wykonywanie czynów przeciwnych. Podstawowej wolności człowieka ani cnota ani wada nie naruszają i człowiek zawsze może albo pójść po linii tego usprawnienia do czynu, które cnota lub wada dają, albo też mu się oprzeć i postąpić inaczej. Ma się rozumieć, że ten który wciąż trwał w postanowieniu aby żadnym dobrowolnym czynem nie przekraczać prawa bożego uzyskałby stopniowo coraz większe panowanie i nad tymi nie całkiem dobrowolnymi poruszeniami różnych złych skłonności; byłyby one u niego coraz słabsze i coraz szybciej nauczyłby się je opanowywać.

Lecz cóż powiedzieć o tej pośredniej kate

gorii ludzi, którzy mają postanowienie, aby nigdy dobrowolnym grzechem śmiertelnym Boga nie obrazić i nie odwrócić się od Niego, ale którzy jednocześnie lekceważą sobie grzechy powszednie, bez oporu idą za swymi złymi skłonnościami z chwilą, gdy widzą, że w danym wypadku nie ma mowy o grzechu śmiertelnym. Wiemy, że niestety zastępy takich są bardzo liczne i ich to niewątpliwie św. Jan w Apokalipsie nazywa „letnią wodą" (III, 16).

Otóż u takich ludzi nie może być mowy ani o formalnej wadzie ani o formalnej cnocie. Są oni na rozdrożu, gdyż wola ich nie ma stałego zorientowania do dobrego, i jeśli coś na nią działa, aby ją od całkowitego zła jakim jest grzech śmiertelny powstrzymać, to są to raczej motywy drugorzędne obawy następstw grzechu śmiertelnego, motywy nie złe bynajmniej, ale nie wystarczające i nie zdolne stworzyć cnoty. Do tego trzeba takiego umiłowania samego przedmiotu cnoty, aby wszelkie od niej odchylenie było niemiłe, bez względu na to, czy te czy też inne następstwa za sobą pociągnie. A jednak nie można też mówić, aby mieli już ugruntowaną wadę, skoro nie chcą iść za wszystkimi jej podnietami i gotowi są im się przeciwstawić, gdy ich popycha do grzechu śmiertelnego. Jest to więc stan zmagania się w duszy zła z dobrem, stan, który długo trwać nie może, bo grzechy powszednie jednak żłobią we władzach coraz głębsze brózdy, wzmacniają i usprawniają złe skłonności i sprawiają, że pierwsza

silniejsza pokusa do grzechu śmiertelnego nie napotka już oporu, a częstsze upadki śmiertelne powoli zagłuszą sumienie i zmniejszą jego odporność. Z czasem przyjdzie połowiczne potem coraz pełniejsze zezwolenie na grzechy nawet śmiertelne i w duszy zakorzeni się na dobre wada formalna t .j. stałe usposobienie rozumu i woli i usprawnienie innych władz, aby na dane czyny zawsze sobie pozwalać, jak tylko trafi się sposobność.

Sądzę, że to rozróżnienie trzech stopni nasilenia złych skłonności podług tych trzech kategorii grzechów, może być bardzo praktyczne i niejednemu pomóc w zorientowaniu się w swym życiu duchowym. Dokładniejszy rachunek sumienia da im poznać jak się odnosi do grzechów zarówno śmiertelnych jak i powszednich i w jakiej materii częściej mu się zdarzają, a stąd będzie mógł dojść do wniosku, które złe skłonności naszej natury bardziej zagrażają postępowi jego duszy i w jakim stopniu nasilenia się już w niej znajdują.

O. Jacek Woroniecki O. P.

MYŚL LITURGICZNA

MISTERIUM CHRISTI

Z każdą pierwszą niedzielą adwentową rozpoczynamy nowy rok kościelny. Czy taki cyklowy podział czasu ma tylko znaczenie pedagogiczne, w myśl przysłowia: że powtarzanie jest matką wiedzy? Czy może co roku ma nam dawać ponowną sposobność przeżywania całości Bożych tajemnic, z obawy, iż nie wyzyskaliśmy dość intensywnie ubiegłego roku kościelnego?

Zapewne, Kościół jako światły pedagog mógł się kierować i tym pobocznym względem, bo gdybyśmy nawet ubiegły rok byli w całej pełni wyzyskali, jednak zawsze można jeszcze pogłębić to, co się nabyło. Podobnie jak serpentyna kilkakrotnie górę okala i łagodnym wzniesieniem zbliża do wierzchołka, tak w liturgii kroki nasze stawiać możemy na coraz to wyższym poziomie, póki do celu, — do Chrystusa — nie dojdziemy.

Same jednak względy pedagogiczne nie mogłyby, bez reszty, wytłumaczyć powracających cyklów roku kościelnego, — gdyż to nie my, ze wszech ograniczeni ludzie — jesteśmy prawdziwymi twórcami roku kościelnego, — my nawią-

zujemy tylko naszą cząstkę współdziałania do wyższych poczynań. Prawdziwym przewodnikiem JEST CHRYSTUS MISTYCZNY W ŁĄCZNOŚCI ZE SWĄ OBLUBIENICĄ — KOŚCIOŁEM — i to Kościołem już uwielbionym, niebieskim, takim, jakim go św. Jan w Objawieniu oglądał:

> „I widziałem święte miasto, Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba, od Boga zgotowane — jako oblubienicę przybraną mężowi swojemu" (Obj. 21, 2).

Dlatego też św. Paweł nazywa ją ową górną, wolną Jeruzalem, Matką naszą" (Gal. 4, 26). Już wyraźnie Tertulian mówi o „niebieskim Kościele: una Ecclesia in caelis" (O chrzcie, 5), — bo czyż oblubienica może przebywać gdzie indziej niż jej oblubieniec — a zatem i ona króluje po prawicy Bożej:

> „Ożywił nas zatem z Chrystusem (boć łaską jego zbawieni jesteście), razem też wzbudził z martwych i razem przeniósł do nieba w Chrystusie Jezusie" (Ef. 2, 5).

Tak to czołem swym dosięga Kościół wieczności, mimo iż stopami swymi, tzn. swymi członkami, będącymi jeszcze „in via" kroczy po ziemi. Zasadniczo więc Kościół nie podlega nieustannym zmianom związanym z naturą rzeczy ziemskich. Przyroda jest wiecznie płynną, zmienną — powstawanie i zanik — rodzenie i śmierć wzajem się przeplatają, podczas gdy Chrystus wraz z Kościołem w królestwie wieczystego ducha stoją ponad naturą, nie ulegają już zatem nieustannym fluktuacjom. Stąd mówiąc o roku kościelnym nie należało by z nim łączyć pojęć przeniesionych

z natury. Z cyklem kościelnym, z tym „anni circulus" kojarzą się inne myśli.

U starożytnych znak koła znaczył nie rozwój, lecz pojęcie stabilizacji. Doskonale w sobie zamknięte i zaokrąglone jest koło symbolem tego, co Boże i co wieczyste. Koło, podobnie jak i kula, nie ma ani początku ani końca — ani uprzedniości, ani następczości, łączy najwyższy spokój z naprężoną siłą; uosabia wprawdzie życie, ale bez znamion rozwoju. Przedstawia ono nie wzrost życia, ale jego pełnię — ŻYCIE WIECZNE. Koło i kula są przeto obrazami wiecznej doskonałości. Tak i cykl liturgiczny ma przedobrażać wieczność, nie zaś życie przyrody, które dziś kiełkuje, jutro zakwita i owocuje — pojutrze zaś więdnie i ginie; dlatego nie ma zamierania w roku kościelnym, istnieje tylko życie, ale życie poprzez śmierć.

Liturgia nie zna też „zimy — śmierci"; zawsze na nowo rozpoczyna koło, — z kołem się łączy, by natychmiast nowy krąg zakreślić, a ta powrotność ma tylko dobitniej podkreślić boskość tajemnic. Chrystus — powiada św. Ambroży — jest dniem, prawdziwym dniem oświecającym dzień; — a liturgia grecka mówi: Chrystus „jest światłem nie znającym schyłku dnia". Podobnie jest On i prawdziwym rokiem, dniem świata, „panem ajonu" tzn. czasu. Nie z tego względu, iżby jak zwykły czas, ciągle się odnawiał, ale dlatego, że jest światłem i życiem wykluczającym zimę i zmrok zachodu. On jest blaskiem świętych w niebie, od niego bierze też tu

na ziemi Kościół swój mistyczny odblask wiecznego dnia Bożego.

Jak uwielbiony Pan jest dla wszystkich świętych w niebie uosobieniem życia wiecznego, tak tu na ziemi „Misterium Christi“ jest ŹRÓDŁEM ŻYCIA dla Kościoła. Tam święci żyją Jego oglądaniem, my tu, pielgrzymujący we wierze, nie widzimy go w jego przepychu Stwórcy wszechrzeczy, niemniej posiadamy go przez wiarę, w tajemnicach poruczonych Kościołowi. A zatem rok kościelny jest istotnie misterium Chrystusowym.

Podobnie też jak w wizji apokaliptycznej Chrystus - słońce rozświeca miasto Boże tak wydatnie, iż słońce i księżyc byłyby już zbędnymi źródłami światła, „albowiem jasność Boża oświeca je, a świecą jego jest baranek (Obj. 21. 23), — tak światło Chrystusowe prześwieca poprzez symbole tajemnic, a tajemnice te mają swój swoisty, podwójny charakter: są one duchowe, nadziemskie i boskie, a przecież odzwierciedlają również i zdarzenia czasowe. Z tajemnic życia Chrystusowego przeżywamy przyjście jego na świat, jego wzrost i wiek męski — słuchamy jego nauk, jesteśmy świadkami jego walk, niepowodzeń i końcowego zwycięstwa, ale drugą „Paruzią“ (jego zjawieniem siś) będzie jego powrót na sąd świata, a zarazem będzie i ostatnim historycznym wydarzeniem — punktem końcowym dziejów ludzkości.

***

Kościół zapoznaje nas z taką troskliwością z owym ziemskim życiem Pana naszego, iż mogło by się zdawać, że zamiarem jego jest, by wierni przeżywali tylko odcień Jego życia tu na ziemi: w takim jednak razie, czy bylibyśmy w pełnym posiadaniu tajemnicy Bożej, w istotnym mistycznym zjednoczeniu z Chrystusem, tym celem i treścią życia chrześcijańskiego? Wszak takiemu ujmowaniu rzeczy brakło by właściwego i wyczerpującego zatapiania się w ducha Chrystusowego, W JEGO ODWIECZNE ŻYCIE BOŻE. Cykl liturgiczny musi więc mieć z konieczności jeszcze dla nas i to drugie głębsze znaczenie. I w rzeczy samej: Chrystus, choć zawsze jeden i ten sam, ma jednak dla nas podwójne niejako oblicze: Chrystusa historycznego i Chrystusa mistycznego. Było by równie niebezpiecznie chcieć oglądać tylko historycznego z wykluczeniem drugiego, jak poprzestawać tylko na kontemplacji mistycznego, nie uwzględniając pierwszego. Gdybyśmy się bowiem upierali przy ekskluzywnym szukaniu historycznego tylko Pana naszego, nie osiągnęlibyśmy zbawienia, — odwrotnie znów oglądając tylko Chrystusa mistycznego w tajemnicach wiary naszej, zabrakło by nam podstawy realnej.

Otóż zbawienie nasze spoczywa na tym podwójnym fakcie, iż Bóg ukazał się prawdziwie w ciele ludzkim, i że ten „syn człowieczy" jest równocześnie „Synem Bożym" i jako „Kyrios", Pan uwielbiony, króluje po prawicy Bożej.

Historyczny Jezus urodził się jako dziecię ludzkie, obchodził Galileę i Judeę, ulice Jerozolimskie, modlił i pasował się ze sobą na Górze Oliwnej i zmarł na Golgocie. Uwielbiony Chrystus wzniósł się z martwych o własnej sile ku Ojcu, stamtąd śle nam swego ducha, przebywa swą niewidzialną a pełną chwały obecnością w Kościele i w każdej duszy, która wierzy, jest ochrzczona i trwa w miłości.

Właśnie dzięki swemu uniżeniu w ciele grzechu w postaci sługi — w posłuszeństwie wiodącym go do śmierci krzyżowej — Bóg-człowiek otrzymał imię, które jest ponad wszelkie imiona. Stał się Panem — „Kyrios", duchem — „Pneuma", jako król świata i oblubieniec Kościoła przy Ojcu króluje. Poczęty w czasie, w łonie dziewicy, — po dokonanym zbawczym dziele — życie to bosko-ludzkie nie zna już kresu i stanowi owo wielkie misterium zbawienia od wieków w Bogu ukryte a w czasie objawione w Kościele.

W tym świetle czyny, których dokonał w poniżeniu swego ziemskiego życia występują zgoła w nowym świetle: ukazują się opromienione światłością Bożą. To życie Pana naszego w potężnym swym biegu olbrzyma — od żłóbka aż po sam tron majestatu Bożego — staje się treścią tego misterium, które każdorazowo w roku kościelnym na nowo przeżywamy. Daje nam ono sposobność rozważania nietylko ziemskiego życia Chrystusowego w swych szczegółach, ale uobecnienia sobie i przyswojenia tych wielkich zbawczych czynów. Na pierwsze: stać by ostatecznie i nieo-

chrzczonego, podczas gdy przeżywanie pełnej tajemnicy Chrystusowej przypuszcza integralne chrześcijańskie życie.

***

Obok znaczenia, jakie rok Chrystusowy posiada ze względu na Chrystusa Pana, ma on jeszcze przedobrażać życie ludzkości.

Obejmuje bowiem historię zbawienia świata, podobnie jak każdy dzień jest tego życia obrazem.

Wszak dzień poczyna się od światła wschodzącego; do południa przybiera ono na sile, po czym nachyla się ku zachodowi. Już choćby tym samym nadaje się osobliwie na symbol i zarazem ramę dla misterium Chrystusowego. Tak jak w historii świata śmierć Chrystusowa była punktem szczytowym Jego dziejów, — podobnie i MSZA ŚW. stanowi w liturgii OŚRODEK dnia Bożego. Poza tym jak w roku kościelnym cały zespół ceremonij i nabożeństw kościelnych tłumaczy i rozwija TAJEMNICĘ PASCHALNĄ, tak znowu ceremoniał mszalny każdego dnia stanowi jego ośrodek, a okala je i wyjaśnia codzienne oficjum; jest ono niejako modlitwą Kościoła okalającą ofiarę i skupiającą się około niej.

Wiadomo, że najwyższym wypowiedzeniem się każdej religii jest jej modlitwa i ofiara. Im odnośna religia jest wyższą i bardziej uduchowioną, tym wyższe okażą się jej pojęcia i zapatrywania co do modlitwy i ofiary.

Stale obok zewnętrznej i materialnej ofiary u pogan i żydów istniała też zewnętrzna i rytualna modlitwa. Otóż w miarę oczyszczania się i pogłębienia modlitwy, podnosiło się i pojęcie ofiary; odwrotnie zaś, im człowiek bardziej oddalał się od Boga, tym bardziej modlitwa jego stawała się wargową formułą i zewnętrzną ceremonią. Z chwilą, gdy modlitwa stawała się wołaniem duszy, — wydobywającym się z głębin jestestwa ludzkiego — ofiara tejże stawała się wyrazem pełnego, bezosobistego oddania się bóstwu. Ze swej strony ofiara spełniała coraz pełniej swoje zadanie: Bogu złożonej daniny, stawała się coraz lepszym wyrazem wewnętrznego poddania się człowieczego woli Bożej. W ten sposób modlitwa i ofiara zbliżały się ku sobie i zespalały wzajemnie. Zatem już w starożytności ofiara stanowiła punkt szczytowy życia modlitwy.

Wszelako takie uduchowienie myśli ofiarnej zawierało wówczas pewne niebezpieczeństwa: łatwo bowiem mógł się nasunąć wniosek, że z chwilą gdy istota ofiary polega na duchowym oddaniu, to może lepiej zaniechać wszelkich jej zewnętrznych objawów. I rzeczywiście już w starożytności pojawiło się to zapatrywanie w niektórych kołach pobożnych pogan jako też i wśród Izraelitów. Tym samym byłby jednak upadł kult zewnętrzny i widomy; w krótkim tempie byłby się ograniczył zrazu do wspólnych modłów, które równie dobrze a nawet może i odpowiedniej zanosić by można na pustkowiach, za pośrednictwem jednostek odciętych od świata, a z czasem cały kult

byłby się zredukował i skurczył do indywidualnej modlitwy, skoncentrowanej do wnętrza serc ludzkich i ostatecznie religia zatonęłaby w NIEOGRANICZONYM INDYWIDUALIŹMIE, subiektywiźmie, kręcącym się dokoła człowieka, a nie DOKOŁA BOGA.

Otóż chrystianizm i w tym względzie pokazał, że daleki jest od tego, by niszczył, co zastawał dobrego. Owszem, uznawał i przyjmował je, dając mu prawo obywatelstwa u siebie, podczas gdy Bożą swą mocą wzbijał się o całe niebo wyżej ponad niechrześcijańskie religie.

Rozumie się, że z chwilą gdy nastało chrześcijaństwo, zewnętrzne, rytualne i materialne ofiary czasów pogańskich nie miały już racji bytu w Nowym Zakonie, lecz wówczas tylko DUCHOWA OFIARA mogła ich miejsce zająć, jako wyraz najodpowiedniejszy tej: „OBLATIO RATIONABILIS" z rzymskiego kanonu. Otóż tą DUCHOWĄ OFIARĄ BYŁA OFIARA MSZY ŚW. Ona również jest tym zewnętrznym, liturgicznym obrzędem sprawowanym przez kapłana ze współuczestnictwem ludu, a wiążą się z nimi dary chleba i wina. Mimo to obrzęd ten nie ma znaczenia czysto zewnętrznego. Poza tą bowiem widomą obiektywną czynnością, istnieje najgłębsza duchowa rzeczywistość: Jezus Chrystus, który się stał człowiekiem i ukrył pod zasłonami mistycznych postaci w bezkrwawej ofierze krzyżowej. Tu wyraża On swoje duchowe oddanie się Ojcu a zgromadzenie wiernych łączy się z tą żertwą pełną ducha Bożego i wraz z nią

składa Bogu dań swoją. Tak moment obiektywny łączy się tu ze subiektywnym w jedno działanie o najpiękniejszym zespole. Obiektywizm uduchawia tu i pogłębia subiektywny pierwiastek, przy czym znajduje swoje niewzruszone oparcie w czynności Chrystusowej. Jego zaś Boże poczynanie podnosi czyn ludzki i nadaje mu właściwą siłę i znaczenie. Winna macica doprowadza latoroślom soki żywotne, by mocą Bożą „SIŁA OWOCU PRZYNIOSŁY".

M. Korytko

TEKSTY KLASYCZNE

ŚW. AUGUSTYN: O WIERZE

Rozum i wiara — oto palące po wszystkie wieki zagadnienie. Jak widać z XLII kazania, w epoce św. Augustyna nie rozważano tej kwestii tylko w sposób naukowy ze wszelkimi subtelnościami, ale niejako wynoszono na ambonę i prawiono o tym ludowi. Nie zatrzymując się dłużej nad dygresjami, które są zresztą bardzo pouczające — bo mówią o roli pokory w uznaniu Objawienia Bożego — wejdźmy „in medias res". Mimo końcowych zastrzeżeń św. Augustyna rzuca się nam w oczy prymat wiary nad rozumem. Otóż należy się zastanowić, w jakim znaczeniu rozumiał go św. Kaznodzieja. Jak widać z „De Doctr. christ." II, c. 7, Orzeł Doktorów uznaje potrzebę zrozumienia tzw. „preambula fidei", tj. podstaw wiary, jak naprzykład istnienie Pana Boga, które dowieść możemy przyrodzonym rozumem. Dalej potrzebna jest za łaską Bożą wiara, która oświeci to, czego rozum zaćmiony grzechami nie może zgłębić.

Człowiek, otrzymując wysokie światło rozumu, „intelligentia“, staje się panem stworzenia. Owa inteligencja zaprowadzi go do daru rozumu, którego jest częścią.

KAZANIE XLIII

„Jeśli wierzyć nie będziecie, nie zrozumiecie“
(Iz. VII, 9).

1. *Wiara jest konieczna.*

Szczera wiara jest podstawą wszelkiego dobrego życia, które ma doprowadzić do wiekuistego żywota. A zatem wiara polega na uznaniu tego, czego się jeszcze nie widzi, a nagrodą tej wiary będzie oglądanie tego, w co wierzysz. Czas wiary jest jakoby czasem zasiewów. Nie lękajmy się, wytrwajmy aż do końca, wytrwajmy aż do godziny, w której będziemy zbierać nasz zasiew. Kiedy bowiem rodzaj ludzki odwrócił się od Boga i marniał w swym grzechu i jak potrzebował Stwórcy, aby się narodzić do życia, tak potrzebował Zbawcy, by odżyć. Sprawiedliwy Bóg ukarał człowieka, dobry Bóg wybawił człowieka: „Bóg izraelski; ten da moc i siłę ludowi swemu: błogosławiony Bóg“ (Ps. LXVII, 36). Lecz moc i siłę otrzymują wierzący, a niewiarą gardzący.

2. *Wiara jest wielkim darem Bożym.*

Nie chwalmy się wcale wiarą, jakobyśmy coś sami mogli zdobyć. Wiara nie jest małą rzeczą,

lecz wręcz przeciwnie: jest czymś wielkim. Jeśli ją posiadasz, to znaczy, żeś ją otrzymał. A co właściwie posiadasz, czegobyś nie otrzymał? (I Kor. IV, 7). Poznajmy więc, moi najukochańsi Bracia, obowiązek dziękczynienia Bogu, który ciąży na nas. Baczcie, abyście nie okazali się niewdzięcznymi za jakikolwiek dar Boży, bo przez waszą niewdzięczność zatracicie go. Wynosić chwałę wiary, przechodzi moje siły; każdy wierny niech stara się o niej rozmyślać. A choćby nawet doszedł do jakiegoś przybliżonego o niej pojęcia, któż może zrozumieć, o ile ona góruje nad większością innych darów Bożych? A jeśli nawet nie powinniśmy być obojętni na najmniejsze dobrodziejstwa Boże, o ile więcej powinniśmy cenić to, co przekracza wszystkie inne.

3. *Boże dobrodziejstwa dla człowieka. Czym innym jest inteligencja a czym innym rozum.*

Bogu zawdzięczamy, że jesteśmy tym, czym jesteśmy. Jeśli w istocie jesteśmy wielką nicością, komu zawdzięczamy jeśli nie Bogu? Lecz istnieje drewno, istnieją kamienie, a dzięki komu istnieją? Dzięki Bogu. A my cośmy otrzymali ponadto? Drewno i kamienie nie mają życia, a my je posiadamy. Co prawda wspólnie z drzewami i roślinami, ale posiadamy. Powie ktoś, że życie przypada w udziale i szczepowi winnemu: gdyby nie posiadał on życia, nie byłoby napisane: „i poraził gradem winnice ich" (Ps. LXXXVII, 47). Szczep winny zieleni się, oto znak życia, usy-

cha — oto znak śmierci. Jest to ukryte życie uczucia. Co mamy więcej, to same czucie. Znacie pięć zmysłów ciała: wzrok, słuch, węch, smak, dotyk. Ten ostatni działający w całym ciele pozwala nam odróżnić miękkie od twardego, szorstkie od gładkiego, zimne od ciepłego. Posiadamy pięć zmysłów i zwierzęta je mają. My jednak mamy coś więcej, a przecież, Bracia, jeśli rozważymy tylko te wszystkie dobra, które właśnie wymieniłem, ileż mamy powodów do dziękowania i uwielbienia Stwórcy? Jednakże czy mamy jeszcze coś więcej? Duszę, rozum, rozsądek, którego nie posiadają ani bydlęta, ani ptaki, ani ryby. Wreszcie ta sama karta Pisma, która opowiada o naszym stworzeniu, dodaje, aby wykazać, że nie tylko jesteśmy czymś lepszym od zwierząt — ale że Bóg dał nam władzę nad nierozumnymi zwierzętami: „uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze; a niech panuje nad rybami morskimi i nad ptactwem powietrznym i nad zwierzętami... i nad wszelkim płazem, który pełza po ziemi“ (Rodz. I, 26). Skąd człowiek posiada tę władzę? Z podobieństwa Bożego, które nosi w sobie[1]).

Dlatego Psalmista czyni ludziom niektórym ten zarzut: „Nie bądźcie jako koń i muł, które nie mają rozumu“ (Ps. XXXI, 9). Tymczasem inteligencja różni się od rozumu.

---

1) O podobieństwie duszy ludzkiej rozprawia św. Kaznodzieja w LII kazaniu raz w IX — XV ks. „De Trinitate“.

Mamy rozum przed posiadaniem zrozumienia[2]) i nie moglibyśmy niczego poznać, gdybyśmy nie byli obdarzeni rozumem. Człowiek więc jest stworzeniem, które ma rozum, czyli, by użyć krótszego i lepszego wyrażenia: stworzeniem rozumnym; dla niego rozum jest własnością naturalną. Posiada ze swej natury rozum i nim może rozumieć. A dlatego szuka rozumienia, ponieważ już ma rozum.

4. *Czy najprzód trzeba wierzyć, a potem rozumieć?*

Naszym zadaniem jest pielęgnować, rozwijać w jakikolwiek sposób i naprawiać tę zdolność, która nas czyni wyższymi od zwierząt. Lecz któżby mógł spełnić tak wielkie zadanie, gdyby nie był dziełem Boskiego Artysty? Mogliśmy zupełnie dobrze zniekształcić Jego obraz w sobie, lecz nie możemy go odnowić; mamy więc, krótko mówiąc, istnienie jak drewno i kamienie, życie jak drzewa, zrozumienie jak aniołowie. Barwy poznajemy oczami, dźwięki uszami, zapach powonieniem, słodycz smakiem, ciepło dotykiem,

---

2) Św. Augustyn mówi w tym miejscu o „zrozumieniu", które u niego jest synonimem udoskonalenia wiary. Doktor Łaski uważa to „zrozumienie" za dar Boży, wyższy od innych, którymi Stwórca obdarzył stworzenie. Owo „zrozumienie" opiera się na rozumie i na wierze (por. Serm. CXVII, CXVIII, CXXVI). Bóg wszakże udziela tego daru w nagrodę za wiarę i życie chrześcij. płynące z wiary: „Zrozumienie jest nagrodą za wiarę" (Tract. XXIX in Ioa. n. 6). Św. Augustyn naucza, że dar rozumu przygotowuje duszę do wejścia na drogę do kontemplacji. Zrozumienie jest zatem nową postacią oświecenia (nie iluminizmu) Bożego (por. F. Cayré, „La Contemplation augustinienne", Paris MCMXXVII, str. 216-233).

a ludzkie obyczaje rozumem. A teraz skup uwagę. Każdy człowiek chce rozumieć i nie ma nikogo, co by tego nie pragnął. Lecz nie wszyscy chcą wierzyć. Mówi mi ktoś: „Pragnę zrozumieć, abym mógł wierzyć“. Odpowiadam: „Wierz, abyś zrozumiał“. Zaraz rozpocznie się między nami dyskusja zamierzająca do jednego: „Najprzód chcę zrozumieć, a potem wierzyć“ — powiada mój przeciwnik. A ja odpowiadam: „Najprzód wierz, a potem zrozumiesz“. Idźmy z tym sporem do sędziego, niech żaden nie liczy na życzliwy dla siebie wyrok. A jakiego wybierzemy sędziego? Spośród wszystkich ludzi, o których mogę pomyśleć, nie znajduję lepszego sędziego nad człowieka, przez którego sam Bóg mówi; w podobnej sprawie i w takiego rodzaju sporze nie chodźmy do literatów: nie poeta będzie nam sędzią, ale prorok.

5. *Mowa prorocka bardzo wzmacnia wiarę.*

Święty Piotr Apostoł przebywając pewnego dnia na górze z dwoma innymi uczniami, Jakubem i Janem, i z samym Mistrzem, usłyszał głos z nieba zstępujący: „Ten jest Syn mój miły, w którymem dobrze upodobał, Jego słuchajcie“ (Mat. XVII, 5). Ten sam Apostoł wspomina i objaśnia to zdarzenie w swoim liście: „My słyszeliśmy ten głos przyniesiony z nieba, gdy byliśmy z Nim na górze“, dodając „i my mamy mocniejszą mowę proroków“ (II Piotr. I, 18, 19). Zabrzmiał ów głos z nieba i „mocniejsza się stała mowa proroków“.

Podwójcie uwagę waszą, najmilsi Bracia; oby Pan przyszedł nam z pomocą: mojej woli i waszej nadziei, abym wam powiedział to, co chcę powiedzieć i tak wyraził jak tego pragnę. Wszyscyśmy się zdziwili zapewnieniem Apostoła, iż mowa proroków jest mocniejsza niż głos niebiański; tak, pewniejsza — mówi Apostoł — lecz nie lepsza, nie prawdziwsza. Głos z nieba zstępujący jest tak samo prawdziwy, tak samo dobry, tak samo użyteczny, jak mowa proroków. A więc co znaczy „mocniejsza", jeśli nie to, że daje słuchaczowi większą pewność. Dlaczego? Dlatego że są niewierni, którzy się ośmielają oczerniać Chrystusa i przypisywać magii te cuda, których dokonał; tak samo niewierni mogliby przez ludzkie domysły, przez grzeszną ciekawość[3]) przypisywać magii ten głos z nieba zstępujący. Lecz przedtem byli prorocy, istnieli oni na wiele lat, nim usłyszano ten głos, na wiele lat przed Wcieleniem Chrystusa; jeszcze Chrystus nie stał się człowiekiem, kiedy wysyłał proroków. Ty więc, który zeń robisz czarnoksiężnika, powiedz mi, czy mógł On dzięki sztukom czarnoksięskim dać się uwielbić po śmierci, a przed urodzeniem wykonywać ten proceder? Oto dlaczego Piotr Apostoł powiada „mamy mocniejszą proroków mowę". Posiadamy głos niebiański, aby nauczyć wiernych, głos proroków, aby przezwy-

---

3) Trzeba podkreślić, że św. Augustyn nie lubi nadmiernej ciekawości (libido sciendi), choćby się ona tyczyła kwestii naukowych (por. Wyznania, ks. X, r, XXV).

ciężyć niedowiarków. Rozumiecie teraz, jak mi się zdaje, Najmilsi, dlaczego Apostoł Piotr mógł powiedzieć: „Mamy mocniejszą mowę proroków“, mimo usłyszanego głosu pochodzącego z nieba[4]).

6. *Dlaczego Pan wybrał na apostołów rybaków i prostaków.*

O przedziwna łaskawości Chrystusowa! Przecież Piotr do nas mówi — on, który był zwykłym rybakiem; a teraz ma sobie za zaszczyt retor, który rozumie słowa tego rybaka. Dlatego przemawiał Paweł Ap. do pierwszych chrześcijan mówiąc: „Przypatrzcie się bowiem, bracia, powołaniu waszemu, że nie wielu mądrych wedle ciała, niewielu możnych, niewielu szlachetnie urodzonych. Ale wybrał Bóg głupstwa świata, aby zawstydzić mądrych i słabych świata. Bóg wybrał, aby zawstydzić mocnych. I podłych świata i wzgardzonych wybrał Bóg i tych, których nie ma aby zniweczyć tych, którzy są“ (I Kor. I, 26-28). Bo gdyby Chrystus wybrał naprzód retora, ten powiedziałby: „Mojej wymowie zawdzięczam ten wybór“; gdyby wybrał senatora, ten powiedziałby: „Mojej godności zawdzięczam ten wybór“; gdyby wybrał cesarza, ten powiedziałby: „Mojej potędze zawdzięczam ten wybór“. Niech będą cierpliwi i poczekają, trochę cierpliwości! Nie są oni zapomniani ani wzgardzeni,

---

4) „Największym wrogiem religii nie jest wiedza, ale brak wiedzy“ (Pius X. Encykl. „E supremi Apostolatus cathedra“).

lecz ponieważ mogliby sobie przypisać swe powołanie, dobrze, że poczekają. Dajcie mi, mówi Pan, tego rybaka, tego niewykształconego prostaka, tego człowieka, do którego senator nie raczy słowa przemówić, nawet wtedy, kiedy u niego kupuje ryby, dajcie mi go. Jeśli ja go napełnię moją mocą, to jasnym będzie, że to ja wszystko zrobiłem. Choć wezwę kiedyś senatora, retora czy cesarza, to lepiej uczynię wzywając najpierw rybaka. Senator mógłby sobie przypisać chwałę swych uczynków — podobnie retor i cesarz; rybak będzie mógł się tylko chlubić w Chrystusie. Niech przyjdzie on nauczać innych zbawiennej pokory, niech więc najprzód przyjdzie rybak, a dzięki niemu potem Bóg napewno przyprowadzi cesarza.

7. *Wiara poprzedza zrozumienie.*

Przypomnijcie sobie, że ten rybak jest święty, sprawiedliwy i dobry, napełnion Chrystusem; jego to rybacze sieci zarzucone na cały świat złowiły wraz z innymi i tutejszy lud. Przypomnijcie sobie, że to on powiedział: „mamy mocniejszą mowę proroków“. Zwróćmy się więc do proroka, aby rozstrzygnął spór. O co chodzi? Tyś powiedział, że ja muszę rozumieć, aby wierzyć; a ja mówię: „Najprzód wierz, abyś zrozumiał“. Rozpoczęła się dyskusja, idźmy do sędziego, niech prorok osądzi, albo raczej niech Bóg osądzi za pośrednictwem swego proroka. Obaj milczmy! Usłyszał nasze sprzeczne zdania. Ty powiadasz: „Chcę zrozumieć aby wierzyć“; a ja

powiadam: „Wierz, abyś zrozumiał". A prorok odpowiada: „Jeśli wierzyć nie będziecie, nie zrozumiecie".

8. *Wiara wzmacnia się dzięki zrozumieniu.*

Czyż więc, moi najmilsi, sądzicie, że nie ma w tych słowach: „muszę rozumieć aby wierzyć", ani joty prawdy? Jaka jest więc moja rola w tej chwili? Nie przyprowadzić do wiary tych, którzy jej wcale nie mają, lecz tych, którzy posiadają słabą wiarę. Gdyby bowiem wcale nie wierzyli, nie byliby tu obecni. Wiara przyprowadziła ich tutaj i dzięki wierze zwracają uwagę na słowo Boże, lecz tę wiarę, którą zasiał Bóg w ich sercach należy podlewać, żywić, wzmacniać — a to jest naszym zadaniem. „Ja zasadziłem — mówi Apostoł — Apollo podlewał, ale Bóg dał pomnożenie. Tak więc ani ten, co sadzi nie jest czymś, a ani ten, co podlewa, ale Bóg, który pomnożenie daje" (I Kor. III, 6-7). Słowem, upomnieniem, zachętą możemy sadzić i podlewać, lecz nie możemy dać pomnożenia. Zdawał sobie z tego sprawę człowiek, z którym Jezus rozmawiał, że jego wiara była w nasieniu jeszcze delikatna i słaba, po większej części chwiejna, jednak istniała w pewnym stopniu; modlił się do Wspomożyciela swej wiary i mówił do Jezusa: „Wierzę Panie".

9. *W jaki sposób należy wierzyć?*

Przed chwilą, kiedy czytano ewangelię, słyszeliście odpowiedź Jezusa ojcu dziecka: „Jeśli możesz wierzyć, wszystko jest możliwe wie-

rzącemu." On patrzy na samego siebie, zagląda do swego sumienia bez żadnej zarozumiałości; to wstępne badanie pokazuje mu w duszy odrobinę wiary a mnóstwo wątpliwości. Widzi on jedno i drugie. Wyznaje jedno i prosi o pomoc dla drugiego: „Wierzę Panie", a co może dorzucić, jeśli nie to: „Przyjdź na pomoc mej wierze". Nie, inną jest jego mowa: „Wierzę Panie". I mówiąc to mam świadomość, że nie kłamię, wierzę i mówię prawdę. Lecz widzę w sobie także coś, co mi się nie podoba. Chcę mocno się trzymać wiary, a jeszcze się chwieję. Mówię stojąc i nie upadłem, ponieważ wierzę, lecz jeszcze się chwieję: „Ratuj mnie od niedowiarstwa mego" (Marek IX, 22-23). Dlatego, Najmilsi, człowiek z którym wszcząłem dyskusję, która toczyła się przed sądem proroka, miał nieco racji chcąc najpierw zrozumieć, a potem uwierzyć, bo i ja dlatego mówię do was w tej chwili, aby nawrócić niewiernych. A zatem ten człowiek po części powiedział prawdę kiedy mówił: „Chcę zrozumieć, aby wierzyć". Ja mówię prawdę: będąc tego samego co prorok zdania: „Wierz, abyś zrozumiał". Podajmy więc sobie ręce. Staraj się zrozumieć, abyś wierzył, a wierz, abyś rozumiał. Oto krótki sposób przyjęcia tych dwóch poglądów, zgłębij moje słowa, abyś zaczął wierzyć i wierz słowu Bożemu, abyś zaczął je rozumieć.

(tłum. W. Eborowicz)

WZORY DO NAŚLADOWANIA

OJCIEC DAMIAN DE VEUSTER

Trąd! — Samo to słowo przejmuje grozą, budzi przestrach i obrzydzenie, a nasuwa przed oczy obraz nędzarza w łachmanach, o zniszczonej przez chorobę twarzy, o wyblakłych z bólu oczach, o zniekształconych i pokrytych ohydnymi ranami członkach.

Przykro jest słyszeć o cierpieniach takiego człowieka, trudno o tym czytać, a spojrzeć bliżej na jego ból i niedolę wydaje się niejednemu rzeczą ponad siły.

Nasza wyrafinowana subtelność nowoczesna, przywykła do wygód, higieny i komfortu, nie znosi widoku tak odrażającego, wzdryga się przed nim i zdobywa się co najwyżej na lekkie słowo politowania...

A jednak spotyka się niekiedy istoty obdarzone tak wysoką dozą altruizmu, przeniknięte zwłaszcza tak nadprzyrodzoną i bezinteresowną miłością bliźniego, że są gotowe oddać swe siły, zdolności a nawet życie w tym jedynie celu, by nieść ulgę nieszczęśliwym, których nawiedziła straszliwa choroba, odrzucając ich poza nawias społeczeństwa ludzkiego.

Znamy takie dusze z dziejów Kościoła i Zakonów. Wiemy, że zadaniem niektórych zgromadzeń jest i było ratować więźniów, trędowatych, chorych, roztaczać nad nimi opiekę, goić ich rany, ulżyć cierpieniom a dusze kierować ku Bogu i prawdzie.

Imię naszego o. Beyzyma głośnym echem obiło się się o wszystkie krańce rozległej naszej ojczyzny.

Innym takim bohaterem poświęcenia i miłości bliźniego był o. Damian de Veuster.

Z pochodzenia Flamandczyk, przyszedł na świat w małej wiosce Tremeloo w Belgii, w pobliżu Lovanium w 1840 r. Domek, w którym mały Józio ujrzał światło dzienne, dziś starannie przechowywany, mieści w sobie pokoik, dawniej sypialny, zamieniony obecnie na kapliczkę. Budyneczek ten wchodzi teraz w skład posiadłości należącej do oo. Najświętszych Serc Jezusa i Marii, zwanych krótko i popularnie Zgromadzeniem z Picpus, od ulicy w Paryżu, na której znajdował się przez długie lata dom macierzysty.

Rodzice Józia byli zacnymi wieśniakami. Mieli ośmioro dzieci, a troje z nich oddali na służbę Bożą. Snać ceniono sobie w tym wierzącym domu wybranie Pańskie.

Młody Józef usłyszał głos powołania gdy miał lat 18. Było to w czasie misji głoszonej w okolicy przez oo. Redemptorystów. Pobożny chłopiec wkrótce potem wstąpił do Zgromadzenia Najświętszych Serc Jezusa i Marii, gdzie wyprzedził go już jego brat, zwany o. Pamfilim.

Początkowo Józef nie myślał o kapłaństwie i miał zostać bratem konwersem. Wykształcenie jego dotychczasowe, na poziomie szkoły powszechnej, nie mogło być wystarczającym przygotowaniem do seminarium. Jednak za radą swego brata wziął się do studiowania języka łacińskiego ; dzięki wybitnym zdolnościom i chęci do nauki, sam opanował materiał w ciągu pół roku, odbył nowicjat pod Paryżem w Issy-les-Molineaux, a profesję złożył w domu macierzystym na ulicy Picpus. Po czym wrócił do Belgii, by kształcić się dalej na uniwersytecie w Lovanium.

Wkrótce przełożeni postanowili wysłać o. Pamfilego na dalekie misje. Tymczasem Bóg zrządził inaczej : o. Pamfili zachorował na tyfus i wyjazd jego zo-

stał odroczony. Wówczas o. Damian jako 24-o letni profes ofiarowuje się na jego miejsce. Ofiara została przyjęta. Po paru tygodniach zakonnik znajduje się na statku wiozącym całą grupę misjonarzy na daleki Wschód.

Celem podróży: odległy archipelag wysp rozsianych na oceanie Spokojnym, zwanych niegdyś Sandwich a dziś Hawaï.

Odkrywcą tych wulkanicznych wysepek był w 1778 r. anglik Cook. Jest ich razem 8, z których największa zwie się Hawaï, inna Oahu ze stolicą Honolulu, wreszcie Molokaï, słynna wyspa trędowanych.

Podróż trwała długo w tym czasie (1863 r.) bo 139 dni, czyli mniej więcej 4 i pół miesiąca, a w 2 miesiące po wylądowaniu na miejsce przeznaczenia, o. Damian otrzymał święcenia kapłańskie z rąk miejscowego biskupa ks. Maigret, Wikariusza Apostolskiego tej zamorskiej krainy.

Nowy misjonarz zabiera się natychmiast z wielką gorliwością do pracy apostolskiej. Wyspa Hawaï, teren jego działalności, jest dość obszerna, ludność natomiast nieliczna, rozmieszczona na całym jej obszarze. Wymaga to ciągłych podróży, a jak utrudnionych! Środki komunikacyjne były bowiem w tym czasie bardzo prymitywne w tych krajach. Drogę odbywa czasem konno, więcej pieszo, po skalistych, stromych zboczach, wśród czynnych i niebezpiecznych wulkanów. Działalność ich bowiem jest tam nieustająca; cierpią na tym osiedla ludzkie często rozsypywane w gruzy lub zalewane lawą. Grunt pokryty szczątkami dawnych opuszczonyhc domostw, świadczy o pracy wybuchowej ognia dobywającego się z kraterów i szczelin górskich.

O. Damiana jednak nic nie odstrasza. Choć ręce i nogi ma nieraz skrwawione od wspinania się po ciernistych stokach, sutanna jego w strzępach, a obuwie podarte, choć czuje się wyczerpanym, skóra spalona od słonecznego żaru piecze go i boli, gorliwy apostoł

przed niczym się nie cofnie, gdy chodzi o pozyskanie dusz Chrystusowi.

Przez 9 lat ciągnęły się nieprzerwanie zdobywcze wędrówki misjonarza po hawajskich wertepach. Aż pewnego razu, w czasie jednej wyprawy napotkał na grupkę trędowatych, zamieszkałych w tych stronach.

Kolebką tej strasznej zarazy, wedle zdania niektórych badaczy, jest Egipt. Stąd zawleczono trąd do Asyrii i dalej do innych krajów azjatyckich. Niektórzy historycy dowodzą, że do Europy dostał się wskutek wypraw krzyżowych i tendencyjnie podtrzymują tę tezę. Nowsze badania wykazały jednak, że już przed krucjatami zdarzały się w Europie wypadki trądu.

Statystyki nowoczesne podają ogółem koło trzy miliony trędowatych, rozmieszczonych dziś po całej kuli ziemskiej. Największa zaś ilość, bo koło dwóch milionów znajduje się obecnie w Chinach, gdzie panuje wśród ubogiej ludności powszechnie znane niechlujstwo. Stąd przeniesioną została zaraza na wyspy oceanu Spokojnego i na archipelag Hawaï dopiero w połowie XIX wieku, koło 1864 r., właśnie kiedy okręt wiozący o. Damiana, dziwnym zbiegiem okoliczności, dobijał do tego kraju.

Niski stan kultury, rozwoju umysłowego i obyczajów plemion zamieszkujących te wyspy sprzyjał szerzeniu się trądu. Nawet rodziny miejscowych władców nie zaoszczędził i zdarzały się wypadki zapadnięcia na chorobę nawet wśród jej członków.

Rząd hawajski, aby położyć kres rozszerzaniu się zarazy, postanowił oddzielić trędowatych na odosobnionej wyspie Molokaï, w zupełnym oddaleniu od zdrowej ludności.

Rozpoczęła się wówczas istna obława na biednych chorych; ci bowiem, przywiązani do swych rodzin, ukrywali się w zaroślach lub szczelinach skalnych, skąd wyciągano ich przemocą i wywożono masowo na północną część wyspy, dla nich przeznaczoną.

Dwie wioski oddano im na mieszkanie, z których jedna, leżąca nad morzem, była jak gdyby rodzajem portu, gdzie lądowały deportowane z dala grupy zarażonych.

Nieogarniona okiem przestrzeń morza odłącza trędowatych z trzech stron od świata, z 4-tej zaś strony nieprzebyte góry Pali odcinają ów smutny zakątek od reszty wyspy.

Łagodny klimat, ciepłe gwiaździste noce, podzwrotnikowa roślinność nadają tej krainie szczególny urok. Niestety, dotknięci zarazą niewiele korzystać mogą z darów przyrody. Ich kalectwo, osamotnienie, nędza i cierpienia czynią z nich najbardziej upośledzoną cząstkę ludzkości.

W wielu krajach, np. w Chinach, trędowaty jest uważany za żywego trupa; rodzina się go wstydzi, społeczeństwo wyrzeka. Traci on wszelkie prawo do życia, a częstokroć krewni, nie mogąc znieść dłużej w domu kaleki, pozbywają się go, zabijając w sposób okrutny lub nakłaniają go do samobójstwa. Mordy trędowatych przybierają tam nieraz okrutną postać: wrzucają ich żywcem masowo do dołu, zalewają naftą i podpalają, lub rozstrzeliwują.

Nieszczęśni wygnańcy na Molokaï, widząc się wzgardzonymi i odepchniętymi od świata i ludzi, z rozpaczy poczęli się oddawać pijaństwu, rozpuście i innym występkom, by zagłuszyć w sobie tęsknotę za życiem.

Chorzy byli pozostawieni bez żadnej opieki, zdani na pastwę strasznego losu. Kapłan katolicki, pastor protestancki lub lekarz zjawiali się u nich tylko dorywczo i chwilowo. Nikt nie miał odwagi pozostać dłużej na nieszczęsnej wyspie.

Co tydzień okręt z Honolulu przywoził im zapasy żywności i nową grupę zarażonych. Mimo częstych wypadków śmierci wśród nich, liczba 800 utrzymywała się dość długo.

Taki był stan rzeczy w Molokaï w 1873 r., gdy ks. biskup Maigret w prywatnej rozmowie z o. Damianem przedstawił mu całą sprawę.

Poświęcenie siebie dla drugich było żywiołem tej szlachetnej duszy, nie znającej egoizmu, gotowej zawsze zdeptać własne ja, gdy chodziło o Boga i Jego chwałę. Ks. bp Maigret nie mógł trafić na lepszy grunt dla swej propozycji: o. Damian ofiarował się natychmiast, bez wahania, z gotowością objęcia pieczy duchownej nad zaniedbaną trzódką.

W tydzień po tej rozmowie zakonnik znajdował się przy boku swego biskupa na pokładzie statku „Kilowea" w towarzystwie 50-ciu trędowatych, odprowadzanych pod eskortą żandarmów na miejsce wiecznego wygnania.

W przemowie do chorych ks. biskup przedstawił im nowego ich opiekuna: „Dotąd — rzekł — dzieci moje, byliście samotni i opuszczeni. Oto teraz znalazł się ktoś, kto będzie dla was ojcem, a tak was gorąco ukochał, że dla szczęścia waszego i dla zbawienia dusz waszych nie zawahał się stać się jednym z was i zapragnął żyć i umierać z wami".

Słowa te wzruszyły do głębi słuchaczy i niejedną łzę wycisnęły z okaleczałych oczu. Przyszłość miała wykazać, jak dalece słowa te były prorocze i jak się spełniły co do joty.

Od tej chwili o. Damian wszedł na drogę ofiary i zupełnego zaparcia się siebie. Odtąd aż do ostatniego tchu, życie jego było jednym nieprzerwanym pasmem aktów miłości i poświęcenia. Zaliczał się już do rzędu trędowatych i uważany był za takiego; obcowanie z ludźmi i ze światem zostało mu wzbronione, ze względu na konieczność ochronienia innych od zarazy.

Pozostał sam, na odludnej wyspie, wśród zaraźliwie chorych. Był w pełni sił i zdrowia, w rozkwicie młodości, — jakoby żywcem pogrzebany.

I tak przetrwał lat 16, niezachwianie i wiernie.

Gdy w parę miesięcy po przybyciu o. Damiana na wyspę odwiedził go jego o. Prowincjał, okręt, który go przywiózł, zatrzymał się w pewnej odległości od portu i nie pozwolono przełożonemu lądować. Wtedy o. Damian wskoczył do łodzi i podpłynął do statku. Natychmiast padł rozkaz nie zbliżania się więcej.

Tymczasem o. Damian pragnął się wyspowiadać. Ale w jaki sposób? — I oto dziwny widok przedstawił się oczom obecnych: nie mogąc podejść do swego przełożonego, zakonnik ukląkł na swej łodzi przy burcie okrętu, a o. Modest wychylił się nad barierę pokładu i słuchał wyznań swego podwładnego, wreszcie skreślił nad nim z oddali wielki znak krzyża św. zmazującego grzechy.

Szczęściem spowiedź ta odbywała się w języku francuskim, nieznanym nikomu z obecnych na pokładzie.

***

Z notatek znalezionych po śmierci o. Damiana i z rozległej jego korespondencji można odtworzyć dość dokładny obraz życia jego wewnętrznego w tej epoce. Zapiski te dokonane są w różnych językach, bowiem o. Damian znał język flamandzki jako swoją mowę macierzystą i język francuski, gdyż uczył się go w szkole, posiadał również dwa języki potrzebne mu na misjach, tj. miejscową gwarę kanacką i język angielski. Prócz tego jako kapłan studiował łacinę i miał pewną znajomość greki.

Jeszcze jako nowicjusz o. Damian odznaczał się gorącą miłością do Najśw. Sakramentu. Spędzał nieraz godziny nocne na żarliwej adoracji. Na wyspie Molokaï żył też myślą o Jezusie Eucharystycznym; ona dodawała mu siły i otuchy, dzięki czemu zawsze był wesół i swobodny. Posilony Chlebem Anielskim, czerpał zeń moc ducha na pracę i poświęcenie.

Dusza jego przepojona uczuciem pokory, zagłębiała się we własnym nicestwie: „Jezus Chrystus i Kościół św. są wszystkim dla mnie, — pisze misjonarz w swym pamiętniku. — Ja mam się zatrzeć... Pokora oparta na ufności i posłuszeństwie dokonywa cudów, a wśród przeciwności chroni od zniechęcenia. Bądźmy obojętni wśród powodzeń zarówno jak i wśród niepowodzeń. Trzeba nam pragnąć wzgardy. Cieszmy się, gdy ona nas spotka, a nie przejmujmy się pochwałami ludzkimi. Bądźmy wdzięczni tym, którzy nam przykrość wyrządzają i obchodzą się z nami wzgardliwie. Módlmy się za nich..."

Oto mowa duszy prawdziwie umarłej sobie, dla której Bóg stał się jedynym celem.

O. Damian miał wrodzone wady charakteru, z którymi musiał całe życie walczyć. Odznaczał się żywym i gorącym temperamentem, i skłonny był do niecierpliwości i gniewu. Przepracował jednak gruntownie te ujemne właściwości usposobienia, a wielką dobrocią, współczuciem dla cierpiących, litością dla kalek i umierających zjednywał sobie dusze nieszczęśliwych i skierowywał je do Boga. Biedni trędowaci odwdzięczali mu się serdecznym przywiązaniem i dziecięcą ufnością.

Gdy cotygodniowy okręt angielski przybijał do brzegu wyspy, przywożąc zapasy i nową grupę zakaźnych, o. Damian znajdował się zawsze w porcie, na przyjęcie w swe ojcowskie objęcia nowych „piskląt" zwierzonych mu przez Opatrzność.

Słowem krzepiącym i budzącym ducha umiał pocieszać chorych; zachęcał ich do znoszenia swych mąk w duchu nadprzyrodzonym, z miłości Bożej, dla zdobycia zasługi. Przedstawiał im ziemię jako miejsce chwilowego wygnania: „ojczyzną naszą, — mówił — jest niebo, do którego dążymy i dojść musimy. Tam spotka nas wynagrodzenie za zniesione cierpienia. Tam nie istnieje już brzydota, nie ma ohydnego trądu, będziemy przemienieni i o tyle piękniejsi i szczęśliwsi,

o ile z większym poddaniem się Woli Bożej znosiliśmy obecne doświadczenia".

Amerykański doktor Woods, który zwiedził wyspę Molokaï, zostawił na piśmie wymowne świadectwo o o. Damianie i jego działalności. Zeznawał, że w żadnej części świata nie zdarzyło mu się spotkać lazaretu dla trędowatych, gdzie byliby oni tak szczęśliwi, zadowoleni, otoczeni tak troskliwą opieką, jak na wyspach Sandwich.

Ojciec zaś mnożył swe wysiłki, by pacjentom jego było jak najlepiej. Troszczył się o ich pokarm i odzienie, nawet budował dla nich domy. Był ojcem zarówno dla katolików jak i dla innowierców nie robiąc między nimi różnicy.

Trędowaci oceniali bezgraniczne poświęcenie się swego dobroczyńcy, tym bardziej, że, pewnego razu zjawił się na wyspie pastor protestancki, by zwiedzić szpital zarażonych; oglądał ich ostrożnie, zdaleka i czym prędzej opuścił groźną krainę. Nie umiał się zdobyć nawet na ciepłe, serdeczne słowo.

Inni pastorowie zjawiali się niekiedy na czas krótki, okazywali litość i życzliwość dotkniętym zarazą, starali się nawet dopomóc swoim współwyznawcom, ale żaden z nich nie pozostał nigdy dłużej.

W schronisku znajdowało się kilku pastorów protestanckich trędowatych; jeden z nich pałał jadowitą nienawiścią do świątobliwego kapłana i pisał na niego szkalujące anonimowe artykuły do różnych czasopism.

O. Damian nie zbijał tych niesłusznych oskarżeń. Do swego Przełożonego Generalnego tak o tych oszczerstwach pisał: „Nie widzę potrzeby bronienia się. Każdy wie, kto jest autorem owych bezimiennych donosów. Współwyznawcy go nie cierpią, a zbór jego w niedzielę świeci pustkami. Ja mu przebaczam z całego serca. Oby i Pan Bóg zechciał mu przebaczyć!"

Mimo że cały dzień upływał o. Damianowi wśród wytężonej i uciążliwej pracy, nigdy nie zaniedbywał

odmawiania brewiarza; często musiał ten obowiązek spełniać w nocy, czym sobie mocno nadwerężył wzrok. Oświetlenia europejskiego nie było wówczas w tej dalekiej krainie.

Umiał też znaleźć sobie czas na czytanie i dopełnianie swego religijnego wykształcenia. Czytał i studiował dzieła dogmatyczne, jakie tylko zdołał sobie zdobyć i zgłębiał Prawdy Boże.

Poza tym, wszystkie kolejno prace, rzemiosła i zawody stawały się z konieczności jego udziałem. Musiał wedle potrzeby grać rolę lekarza, nauczyciela, urzędnika magistrackiego, to znów zajmował się ciesielką i murarstwem. W ciągu swego pobytu na wyspach Hawajskich zbudował i odnowił razem 15 kościołów i kaplic. Od młodości cieszył się dobrym zdrowiem i już w domu rodzicielskim odznaczał się wielką siłą fizyczną. Sam jeden potrafił podnieść belkę, którą dźwigało 3 tubylców i zdumiewał ich potęgą swych muskułów. Dzięki tej zręczności i sile zyskiwał w ich oczach, imponował im, a naiwni i olśnieni Kanakowie tą drogą stawali się podatniejsi na wpływ jego moralny i duchowy.

Powoli wciągał do współpracy zawstydzonych i niedbałych mieszkańców, i, o ile tylko im zdrowie pozwalało, stawali się dzielnymi robotnikami pod kierownictwem przedsiębiorczego misjonarza.

W swej pomysłowości i obrotności zabrał się o. Damian do fabrykacji instrumentów muzycznych, na których biedni trędowaci uprzyjamniali sobie czas, wygrywając wieczorami i urządzając pochody i koncerty przy księżycu. Mimo brakujących palców u rąk i pokaleczonych warg, domorosła ta orkiestra oddawała się z wielkim zapałem muzyce, szukając w niej pociechy i rozrywki w ciężkiej swej niedoli.

Najczęstszym wszelako zajęciem o. Damiana było przysposobienie na śmierć swych cierpiących dzieci i klecenie trumien dla ich ziemskiej powłoki. Biografowie wyliczają około 1600 skrzyń, które miał wykonać

w tym celu własnymi rękoma. Choćby ta liczba była przesadzona, to i jej połowa byłaby jeszcze dość znaczna.

Ojciec zamieniał się w grabarza: zbijał deski do trumien, kopał doły, przewodniczył pogrzebom. Często przechadzał się po cmentarzu, trzymając w ręku różaniec, do którego miał wielkie nabożeństwo, i rozmyślał o śmierci. „To najlepsza moja książka do medytacji, — pisał w liście. — Z niej czerpię pokarm dla własnego serca i materiał do moich kazań!“

Od czasu przybycia o. Damiana na wyspę, warunki egzystencji biednych trędowatych zmieniły się do niepoznania. Higiena się poprawiła, a zatem i śmiertelność poczęła się zmniejszać liczebnie. Ale dużo musiał włożyć w tę pracę trudu i wysiłków.

Ojciec zastał chorych pogrążonych w najgorszej nędzy i opuszczeniu: „Większość, — wspomina on w liście do brata, — to jakby chodzące żywe trupy, zżarte okrutną chorobą“. Nie było nawet dla nich poprzednio odpowiedniego pomieszczenia. Stał tylko jeden marny budynek dla tych, którzy byli już w ostatnim stadium choroby. Żadnego lekarza ani pielęgniarki; zupełny brak środków leczniczych. Chorzy byli rzuceni na pastwę losu i okrutnej śmierci.

Trąd zazwyczaj dotyka najpierw kończyn i najwydatniejszych części ciała jak głowy, zwłaszcza nosa, uszu i warg. Skóra na nich bieleje, nabrzmiewa, wreszcie ciało gnije i odpada kawałkami. Niektórzy chorzy głuchną, ślepną lub tracą głos. Widok ich jest szpetny i odrażający; sami do siebie mają wstręt i boją się siebie nawzajem.

Nowsze badania wykazały, że przyczyną choroby jest bakcyl; tym się tłumaczy łatwość zarażenia się. Wszelkie jednak dane wskazują na to, że trąd nie jest dziedziczny, jak to zostało stwierdzone wielokrotnymi doświadczeniami.

Medycyna do dziś dnia nie odkryła jeszcze radykalnych środków na trąd. Dla przyniesienia więc ulgi

swym chorym o. Damian próbował różnych środków łagodzących, jak okładów z pewnego gatunku oleju, ciepłych kąpieli, pigułek wyrabianych z japońskiego pnącza, zwanego Hoang-Nan i innych lekarstw. Były to wszakże tylko paliatywy, mogące umniejszyć bóle, ale nie usuwające przyczyny złego.

Pewnego razu królowa-regentka plemienia Kanaków, rządząca chwilowo w imieniu nieobecnego brata, króla Kalakaua, ochrzczona w wierze protestanckiej, odwiedziła siedzibę trędowatych na Molokaï. Bolesny widok tylu cierpiących, wśród których rozpoznała swych znajomych, przejął ją do głębi. Łzy popłynęły z jej oczu. Rzewność ogarnęła i biednych chorych, a śpiew rozpoczęty na cześć monarchini skonał wśród ogólnego łkania.

W kilka dni po tej wizycie, biskup sufragan Hawaï[1]) złożył o. Damianowi w imieniu regentki odznakę z tytułem komandora orderu Kalakaua, z dokumentem ozdobnym w herby królów hawaïskich. O. Damian przyjął tę nagrodę z pewną przykrością, a krzyż ów nosił jedynie z obowiązku, w święta uroczyste, uważając, że razi on zbytnio na nędznej, połatanej sutannie.

Wśród prac uciążliwych, podjętych dla dobra opuszczonych kalek, wśród zupełnego ogołocenia i zaparcia się siebie, o. Damian czuł się szczęśliwym. Promienna pogoda i niekłamane wesele przebijały z jego listów pisanych do rodziny i bliskich. Odwiedzający samotną wyspę byli uderzeni jego serdecznym i życzliwym wyrazem twarzy, dobrotliwym uśmiechem, a zarazem postawą pełną energii i siły. Znać na nim było człowieka gotowego na wszelkie najtrudniejsze przedsięwzięcia i pojmującego w pełni czym jest ofiara i wyrzeczenie się siebie.

---

1) Wedle niektórych biografów nazywał się ks. bp Hermann-Koeckmann, wedle innych ks. bp d'Olba. Nie mamy możności sprawdzić tego.

Nadprzyrodzony optymizm nie opuszczał go nigdy, nawet wówczas, gdy złowroga zaraza i jego dotknęła. Dusza apostoła była niedostępna zarówno dla zła jak i dla smutku z niego płynącego. Nie znał co przygnębienie, niechęć, apatia. Nie przypuszczał do serca cienia pesymizmu, wiedząc, że to robak podgryzający zdrowe drzewo owocnego działania.

Przekonany, że atmosfera wesela i radości jest niezbędną dla duszy i ciała jego chorych, rozsiewał dokoła siebie szczęście i dobroć, jako konieczne dla nich lekarstwo i pociechę.

Nie przychodziło mu to jednak zawsze z łatwością. Trzeba było nieraz wielkiego opanowania siebie i ducha umartwienia, by przezwyciężyć naturalne odruchy.

Każdy lekarz lub pielęgniarka w szpitalu wiedzą dobrze o tym, jakiego ujęcia siebie w karby wymaga praca przy chorych. A cóż dopiero, gdy chodzi o takich chorych jak trędowaci, których cuchnące rany i gnijące za życia ciało rażą powonienie, wzrok i inne zmysły!

Wiele osób czytać ni słuchać nie może opisów drażniących ich przeczuloną wrażliwość. A czymże jest życie bezustanne wśród tego okropnego widoku, jaki przedstawia trąd i płynące zeń następstwa! — Oczy wciąż patrzeć muszą na ropiejące rany i rozkładające się ciała, słuch — znieść jęki i narzekania, a powonienie — cierpieć przykrą i odrażającą woń zgnilizny.

O. Damian znosił wszystko bez słowa skargi, ale przyzwyczajał się długo, powoli. Początkowo w konfesjonale słabo mu się robiło; niekiedy w czasie nabożeństw w kościółku napełnionym trędowatymi miał pokusę uciec na świeże powietrze. Przypominał sobie wówczas Ewangelię o Łazarzu, złożonym w grobie i trwał mężnie na posterunku. Gdy przychodziło mu udzielać Ostatniego Namaszczenia umierającym, kapłan szukał z trudem zdrowego miejsca na przeżartych trądem członkach konającego.

* * *

Zdawać by się mogło, że człowiek tak wyzuty z siebie nie mógł mieć wrogów. A jednak znaleźli się tacy, co zazdrościli mu szczęścia i usiłowali odebrać mu dobrą sławę. Byli to przeważnie pastorowie protestanccy, choć znaczna ich liczba chyliła ze czcią czoło przed świątobliwym zakonnikiem.

Niektórzy wszakże mieli mu za złe, że wyrywa im dusze, zdobywając je dla katolicyzmu. Jeden wystąpił z protestem przeciw obfitym składkom zbieranym w Europie na dzieło o. Damiana. Inny rzucił nań potwarz, dając podejrzenie w jego cnotę. Misjonarz, bliski już wówczas śmierci, dowiedział się o oszczerstwie i Boga wziął na świadka swej niewinności. Świadczy to o tym, jak dalece owo posądzenie, choć bezpodstawne i niesprawiedliwe, musiało go zaboleć.

Bóg nie oszczędził mu krzyżów, chcąc go doprowadzić do najszczytniejszej świętości.

Krytyki i fałszywe donosy dotarły do uszu miejscowego biskupa i przełożonych zakonnych. Nie mogąc stwierdzić na razie słuszności zarzutów, chwilowo dano im wiarę. Cierpiał nad tym głęboko gorliwy apostoł.

Twierdzono np. że o. Damian zbytnio zajmuje się sprawami doczesnymi, sprowadzaniem żywności, budownictwem itd. zamiast ograniczać się jako kapłan do posługi duchownej, — że za dużo żebrze u obcych dla swego schroniska, zwłaszcza w Anglii i nie docenia pomocy udzielonej mu przez rząd hawajski, że zbytnio zaprząta prasę, nawet protestancką, swymi sprawami, że artykuły jego, pisane do zagranicznych czasopism są przesadne, kroją na sensację, — że zmusił swego biskupa do przysłania mu pomocnika, zamiast prosić o to swe własne Zgromadzenia.

Widocznie każdy krok jego był tłumaczony opacznie, z wyraźną niechęcią. Spoglądano na niego nieżyczliwym okiem. Intrygi zawiązały się głównie w Honolulu, doszły do władz zakonnych pokornego ojca i usposobiły nieufnie względem niego.

Szczęściem była to tylko przejściowa próba, zesłana mu przez Boga dla pogłębienia jego pokory i umocnienia czystości intencji. Niebawem nieporozumienia się wyjaśniły, a cnota wiernego zakonnika zajaśniała pełnym blaskiem.

***

Oddany Bogu całą duszą, wypełniał on skrupulatnie śluby złożone w dzień profesji. Umartwiony, posłuszny, ubogi, przestrzegał najsubtelniejszej czystości ducha i ciała.

Oto jak pisze w swym dzienniku: „Bądźmy dokładni w drobnych rzeczach. Śmierć kaprysom, płynącym z własnej woli! bądźmy jak trup nieczuli, dający z sobą robić wszystko, cokolwiek przełożeni uznają za słuszne".

Przykrym mu był bardzo, aczkolwiek zrozumiałym w zasadzie, zakaz o. Prowincjała, którym zabraniał mu przyjeżdżać do Honolulu do braci zakonnych. Gdy bowiem odwołano jedynego jego towarzysza, o. Alberta, czuł się osamotniony. Co dwa lub trzy miesiące zjawiał się wprawdzie jeden z ojców dla spowiadania go, ale wracał natychmiast do miasta.

Gdy przyjazd ten się opóźniał, o. Damian klęcząc przed Najśw. Sakramentem, na głos spowiadał się Bogu. Przed Nim wylewał swą duszę i zwierzał swe przewinienia Temu, który sam wszystko przebacza i gładzi.

Pewnego razu, nie mogąc doczekać się niczyjego przybycia, o. Damian wybrał się do Honolulu, by otrzymać absolucję. Udał się do swego biskupa, odwiedził króla, lekarza, załatwił ważne sprawy, a po paru dniach wrócił do swej pustelni. Krok ten komentowano jako akt nieposłuszeństwa i samowoli. Wykazało się jednak, że winy nie było w jego postępku wywołanym koniecznością i zaaprobowanym przez prezesa Komitetu Higieny i samego Ordynariusza.

Lecz w cierpieniu cnota dojrzewa, a praca apostolska użyźniona bólem przynosi obfite owoce.

O. Damian oddawał się swej misji z coraz większym zapałem, a wpływ jego działał gruntownie choć powoli i nieznacznie. Od czasu do czasu organizował rekolekcje dla swych pupilów, miewał kazania, spowiadał, nie szczędząc trudu ni wysiłków.

Po dziesięciu latach wytężonej pracy ojca, trędowaci na Molokaï zmienił się do niepoznania. Duch prawdziwie chrześcijański zapanował wśród nich ; pobożność zakwitła, obyczaje uległy gruntownemu przeobrażeniu. Chorzy przystępowali często i gromadnie do Sakramentów św., odprawiali wspólnie i z nabożeństwem drogę krzyżową. W czasie uroczystej mszy niedzielnej gorliwie śpiewali pieśni religijne.

Nawet Pasterka odprawiana corocznie przez o. Damiana gromadziła znaczną liczbę chorych i robiła na nich wielkie wrażenie. W święto Bożego Ciała miała miejsce uroczysta procesja z Najśw. Sakramentem. Kapłan niosąc w rękach złocistą monstrancję posuwał się powoli, za nim bowiem szła rzesza kalek z trudem mu towarzysząca wśród śpiewu i muzyki.

W oczach o. Damiana świeciły łzy, a były to łzy wzruszenia i wdzięczności dla Boga za gorliwość jego owieczek, a zarazem łzy bólu, spowodowane widokiem cierpienia biedaków, którzy mimo swych męczarni usiłowali oddawać cześć Panu swemu, utajonemu w Eucharystii.

Z liczby 16 lat, które nasz misjonarz spędził wśród trędowatych, 9 upłynęło mu w zupełnej samotności duchowej, bez niczyjej pomocy, bez towarzystwa konfratra, prócz tych, których widywał przelotnie.

Dorywczo przysyłano mu pomoc braci ze Zgromadzenia Najśw. Serc, ale mało który mógł dłużej pozostać. W ostatnim roku życia miał pociechę widzieć przy sobie towarzysza i następcę swego, z tego samego co on zakonu, o. Wendelina Moellers'a, a w pół roku

przed śmiercią witał z radością trzy zakonnice Franciszkanki, które miały objąć w swą opiekę jego „pisklęta".

W 1884 r. stwierdzono u misjonarza pierwsze objawy strasznej choroby trądu. Przez dziewięć lat silny jego organizm opierał się zarazie, aż w końcu uległ pokonany.

Osattnie zatem sześć lat pobytu swego na ziemi był on zaliczony w poczet nieszczęsnych, którym oddał bez zastrzeżeń swe siły i życie. Wprawdzie od pierwszego z nimi zatknięcia uważał się za jednego z nich ; mówił zazwyczaj : „my trędowaci", choć był jeszcze zdrów i czekał swej kolei jako nieuniknionej konieczności.

Ciągłe stykanie się z nieszczęsnymi chorymi, obcowanie z nimi, narażało go nieuchronnie. Nie chcąc sprawiać im przykrości, musiał stosować się do ich zwyczajów, nie uwzględniających częstokroć podstawowych zasad higieny, jak wspólne palenie z jednej fajki, jedzenie palcami ze wspólnej misy itp. Opatrując rany, udzielając Ostatniego Namaszczenia musiał dotykać schorowanych i poranionych członków, co było tym niebezpieczniejsze, że pracując często przy ciesielce miał niekiedy skaleczone palce.

Gdy raz sparzył sobie nogi wrzątkiem i nie odczuł bólu, ta nieczułość naprowadziła go na myśl, że choroba w nim tkwi. Wiedział z doświadczenia, że to pierwsza oznaka początkującego trądu.

Lekarz stwierdził prawdziwość tych przypuszczeń. Stopniowo ukazały się plamy, spuchnięcia, zniekształcenie kończyn.

O. Damian był trędowaty.

Sam doniósł o tym swemu biskupowi i o. Prowincjałowi, pogodnie, prawie radośnie. Oczekiwał tej chwili od szeregu lat, był pewny, że los ten go nie ominie. Nie dziwił się, że chwila ta obecnie nadeszła. Uważał ją za godzinę wybrania Pańskiego. Choroba

ta zbliżała go do jego owieczek, do tych biednych, „parszywych"... Teraz był naprawdę jedną z nich.

Lekarz radził mu powrót do rodzinnego kraju, dla zmiany klimatu, ale o. Damian nie chciał pod żadnym pozorem opuścić swych dzieci: „Dla chwały Bożej i zbawienia dusz — odrzekł, — zostanę na swym posterunku aż do śmierci!"

Mimo postępów okrutnej choroby, która niemiłosiernie niszczyła twarz, członki i cały organizm bohaterskiego misjonarza, poświęcał się on nadal dla dobra swych chorych, nie zważając na własne cierpienia, nie troszcząc się o swój odrażający wygląd, nie oszczędzając siebie ani na chwilę. Do końca wesół, swobodny i serdeczny dla otoczenia, pracował ustawicznie jak najwytrzymalszy robotnik, nie folgując sobie w niczym.

Wieloletnie obcowanie z trędowatymi dało mu doświadczenie niczym nie zastąpione; mógł więc śledzić sam na sobie z całą świadomością postępy choroby z każdym dniem widoczniejsze. Dziwnym tylko zrządzeniem Bożej Opatrzności, poświęcone jego kapłańskie dłonie zostały do końca nienaruszone, choć zazwyczaj choroba zaczyna się właśnie od rąk. Dzięki temu mógł długo odprawiać Najśw. Ofiarę, i przywlec swe ścierpiane, przeżarte trądem ciało do ołtarza, piastować w swych rękach Jezusa w białej Hostii.

Czuł się szczęśliwym, że miał przy sobie dwóch kapłanów ze swego Zgromadzenia, o. Wendelina i o. Conrardy'ego. W ich ręce ponowił swą zakonną profesję i przyjął Ostatnie Sakramenta.

W swej ubogiej, przez siebie skleconej z desek plebanii, leżał o. Damian jak Łazarz okryty wrzodami, na nędznym posłaniu. W parę dni przed śmiercią, rany się nagle zamknęły i pokryły czarnymi strupami: ostatnie zwiastuny nadchodzącej śmierci. Trąd znikał jakoby z zewnętrznej powłoki ciała, by tym gwałtowniej pożerać wnętrzności.

Siostry Franciszkanki otaczały chorego miłością i staraniem. On spoglądał na nie z błogim uśmiechem, z którego wyczytać można było wielką ulgę i radość: szpital dla trędowatych jest w dobrych rękach, ma zapewnioną przyszłość. Usta jego wołały szeptem: „Nunc dimittis! nie jestem już tu potrzebny, mogę już iść do Pana!"

Śmierć wreszcie nadeszła, cicha i błoga, dnia 15 kwietnia 1889 roku. O. Damian był jeszcze w sile wieku, miał zaledwie lat 49!

Na wyspie zapanował płacz i lament. Trędowaci byli niepocieszeni: stracili bowiem najlepszego ojca, opiekuna i dobroczyńcę swego.

***

Anglia wystawiła na wyspie Molokaï krzyż pamiątkowy na miejscu gdzie dokonał żywota świątobliwy zakonnik. Napis widnieje wyryty na czerwonym granicie: „Najwyższy dowód miłości, jaki człowiek dać może, to umrzeć za tych, których się miłuje".

Sława cnót i poświęcenia misjonarza szybko rozeszła się po świecie. Ojczysta Belgia zbudowała mu pomnik w Lowanium; przedstawia on o. Damiana przyciskającego jedną ręką krzyż do piersi, drugą zaś obejmującego trędowatego: symbol to dwóch wielkich umiłowań ożywiających płomienne serca apostoła wydziedziczonych.

***

W 1936 r. Roosvelt, prezydent Stanów Zjednoczonych, do których obecnie należą wyspy Hawaï, na prośbę króla Belgów zezwolił na ekshumację zwłok o. Damiana.

Znaleziono szkielet dobrze zachowany, złożono go w potrójną trumnę i przewieziono najpierw samolotem do Honolulu, następnie okrętem przez San Francisco i Panamę do Belgii.

W katedrze w Honolulu jak i w San Francisco odprawiono przy zwłokach uroczyste nabożeństwo, na którym asystowali liczni przedstawiciele trzydziestu przeszło państw i wyższego duchowieństwa.

Okręt przybrany w chorągwie Belgii i Stanów Zjednoczonych dobił do Antwerpii wśród dźwięku trąb i bicia dzwonów kościelnych. Sam król, Leopold III, w otoczeniu przedstawicieli rządu czekał u portu.

Premier van Zeeland wygłosił przemowę zaczynającą się od słów: „Nie możemy dość nisko się skłonić przed tą trumną, zawiera ona bowiem śmiertelne szczątki jednego z najczystszych bohaterów, jakich kiedykolwiek ludzkość wydała".

W uroczystym pochodzie do katedry brał udział Nuncjusz Apostolski, biskupi, prałaci, ministrowie, korpus dyplomatyczny. Następnie zawieziono ciało do Lowanium, gdzie złożone zostało na zawsze w kaplicy oo. Najśw. Serc Jezusa i Marii.

Po wielu latach spędzonych na krańcach świata wrócił o. Damian do Ojczyzny, by spocząć snem wiecznym wśród swoich.

Postać jego wyryła się w pamięci rodaków i współbraci jako wzór najwyższego poświęcenia i obumarcia samemu sobie.

Trafnie określił to mówca o. Rutten, dominikanin-senator, w pięknym kazaniu wygłoszonym w dzień triumfalnego powrotu apostoła trędowatych na ojczystą ziemię: „Patrząc na mijającą trumnę, tłumy witają uosobienie ofiary".

S. M. L.

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

W SPRAWIE NAGŁEJ

Idea misyjna wypływa z istoty Kościoła, znajdując źródło swego rozmachu dynamicznego i sankcję w słowach Chrystusowych: „Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody". U progu dziejów ludzkości rzucił Bóg człowiekowi misję: „czyńcie sobie ziemię poddaną"; — chrześcijaństwo zagrzane apelem Chrystusa, skierowanym do apostołów swoim celem i ambicjami ten pierwotny cel przerasta, na nim poprzestać nie może, wyrywa się ponad ziemię, porywając za sobą żarem pragnień metafizycznych tych wszystkich, których dusz Ewangelia jeszcze nie dotknęła.

Historia Kościoła nie jest niczym innym, jak historią misji; trwają one od początku chrystianizmu i trwać będą do końca świata. Już apostołowie, ci pierwsi misjonarze i „łowcy ludzi", oświeceni przez Ducha św., rozeszli się w rozmaite strony ucząc i nawracając. I ten „połów dusz" trwa po dziś dzień.

A jednak żywotność problemu misyjnego stoi dla niektórych katolików europejskich pod znakiem zapytania. Dziś bardziej niż kiedykolwiek indziej każdy katolik powinien sobie zdawać sprawę z tego, że akcja misyjna jest jednym z najważniejszych zadań, jakie spełnić ma Kościół katolicki w dziejach ludzkości. Naród, społeczeństwo katolickie, pokolenie, które nie

prowadzi wewnętrznej i zewnętrznej akcji misyjnej, nie może o sobie powiedzieć, że zrozumiało naukę Chrystusa. Potwierdza to historia. Nie zdobyły się na wielkie dzieła misyjne pokolenia, których życie nie tętniło rytmem wiary i ofiarności.

Ostatnie jednak lata znaczą stałe wzrastanie zainteresowania się zagadnieniami misyjnymi. Przyczynił się do tego w znacznej mierze Pius XI, za którego pontyfikatu misje nabrały niezwykłego rozmachu. Obecny Ojciec św. zdziałał dla misji bardzo wiele: Już w pierwszym swoim motu proprio „Romanorum Pontificum" podkreślił nagłość i powagę problemu misyjnego. W czasie audiencji, udzielonej komitetowi ogólnoświatowej wystawy misyjnej na początku Roku Świętego, zaprzeczył rozpowszechnionemu poglądowi, że sprawa misji obchodzi tylko zakonników i ludzi pobożnych i stwierdził, że oznacza ona najwyższe zadanie Kościoła, z którym związany jest los cywilizacji ludzkiej.

Myśli Papieża o misjach zaznaczyły się w encyklikach misyjnych: „Maximum illud", „Rerum Ecclesiae" oraz w społecznych: „Quadragesimo anno", „Casti conubii", które swą czystością i siłą moralną stoją na straży placówek misyjnych.

Liczne przemówienia Ojca św., synod w Szanghaju, konferencja w Kapstadzie, orędzia Kongregacji Propagandy, kongresy, zjazdy i wystawy misyjne, imponująca liczba nawróceń, są wyrazem konstruktywnej pracy i działalności misyjnej. Jak dalece Ojciec św. przejmuje się sprawą misji, świadczy o tym najlepiej opowiadanie arcybiskupa Salottiego, sekretarza Kongregacji dla Propagandy Wiary, który pewnego dnia zastał Papieża we łzach nad listem od pewnego misjonarza, przebywającego od przeszło 71 lat w Chinach. Misjonarz błagał w swym liście Ojca św. o 200 tys. lirów dla akcji misyjnej. Mgr. Salotti zaproponował Papieżowi, że odpisze staremu misjonarzowi, Papież jednakże nie zgodził się na to, twierdząc, że sta-

ruszek może tymczasem umrzeć i wreszcie stanęło na tym, że Ojciec św. posłał natychmiast potrzebną sumę 200 tys. lirów.

O ogromnej trosce Papieża na niwie misyjnej świadczy również niezwykły rozwój Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary, które swą olbrzymią akcją rozgałęzioną na cały świat, zdobywa coraz to nowe zastępy współpracowników i nowe zasoby materialne.

Krajem, który najwydatniej przyczynia się materialnie do rozwoju Dzieła Rozkrzewiania Wiary, są Stany Zjednoczone. We Francji, która przez sto lat była siedzibą Dzieła Rozkrzewiania Wiary, wykazuje ludność wiele zainteresowania tą akcją. Bardzo umiejętnie prowadzona jest we Francji propaganda misji w szerokich masach społeczeństwa, które podkreśla, że akcja misyjna, jeśli ma być owocna, wymaga poparcia ze strony wszystkich sfer społeczeństwa. Naród polski, jako jeden z najbardziej katolickich, jako ten, który dziś tak intensywnie przeżywać zaczyna odrodzenie katolicyzmu, nie może nie prowadzić własnej akcji misyjnej. Polska wprawdzie pozbawioną jest tej naturalnej podstawy, jaką są dla misji kolonie, ale tym niemniej misjonarze polscy stanowią w katolickiej armii misyjnej hufiec, który godnie reprezentuje katolicką Polskę i jej chrześcijańską kulturę.

Ze zrozumienia przez Polskę idei misyjnej wyrosła myśl Pierwszego Ogólnopolskiego Kongresu Misyjnego, który odbył się staraniem Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary w dniach 13 i 14 września w Poznaniu. w Kongresie wziął liczny udział Episkopat, duchowieństwo i goście z całej Polski.

Kongres uwypuklił ideę misyjną, podkreślając stosunek Ojca św. do misji oraz dorobek Polski w ciągu dziejów na niwie misyjnej. Przez wszystkie referaty kongresowe przewijała się nuta mesjanistycznego przekonania, że my Polacy, jesteśmy urodzonymi misjonarzami dzięki naszej strukturze duchowej, zdolności

do zapału, entuzjazmu, dzięki niezdolności do nienawiści.

W pierwszym referacie pt.: „Pius XI a misje" dr K. M. Morawski, znawca historii, scharakteryzował postać „papieża Polaków" jako „papieża misji".

W drugim referacie pt.: „Założenie trzech dzieł misyjnych i doświadczenia misyjne" — o. Mańka, O. M. N., który po długoletnim pobycie na Cejlonie, w Kochawinie w Indiach, przybył do Polski, opowiedział o swoich doświadczeniach misyjnych, o tym jak żyje i pracuje wśród obcych mu ludzi polski misjonarz. Diecezja cejlońska jest jedną z trzech diecezji indyjskich. Pracę misyjną w Indiach rozpoczęli misjonarze-Oblaci N. M. P. w r. 1847. Przez cały wiek XIX pracowali tam w opłakanych warunkach, ale wytrwałość została wynagrodzona: w ubiegłym roku zanotowano 200 nawróceń. Pracę misyjną utrudnia specyficzny stosunek Hindusów do misji. Hindus twierdzi, że przyjąwszy religię Zachodu traci swe cechy narodowe i przestaje być prawdziwym Hindusem.

Mimo to liczba katolików wzrosła do 60 tysięcy. Szczególnie dobrze przedstawia się dorobek kleru tubylczego. Na 67 księży przeszło połowę stanowi kler tubylczy.

Trzeci referat pt.: „Dzieło misyjne w Polsce" wygłosił ks. prałat de Ville z Warszawy, dając w syntetycznym skrócie obraz akcji misyjnej, jakiej w ciągu wieków aż do czasów ostatnich Polska dokonała.

Nawet ci, którzy nie mieli zainteresowania dla misji, wysłuchali uważnie referatu ks. prałata de Ville śledząc wysiłek, jaki Polska włożyła w nawracanie bądź swoich sąsiadów, bądź też ludów dalekich.

Na tle tego historycznego rysu podkreślił ks. prałat de Ville szczególniej sylwetkę o. Jana Beyzyma, najpiękniejszą postać misjonarza polskiego w XIX w. pracującego na Madagaskarze. Misje polskie rozsiane po całym świecie: w Azji, Australii, Afryce, Ameryce,

Oceanii, świadczą najlepiej o misyjnej ekspanzji Polski, a obejmują również pracę nad 9 milionową rzeszą prawosławnych w Polsce na wschodnich połaciach kraju. Polska dzięki swej ofiarności i zdolności do poświęceń wysuwa się na czoło narodów misyjnych świata.

Na zakończenie obrad Kongresu wygłosiła Zofia Kossak referat pt.: „Papieskie dzieła w Polsce" przedstawiając tragiczną sytuację na naszych kresach wschodnich, gdzie na 39 km² (Wołyń — diecezja łucka) jest 133 parafii, a na jednego księdza przypada 2300 wiernych. W rezultacie takich stosunków większość spośród wiernych to analfabeci religijni. Ta polska, zaniedbana „wyspa" na tak bliskim wschodzie — powinna się stać naszą najbliższą placówką misyjną.

Do ożywienia Kongresu przyczyniła się w dużej mierze Wystawa Misyjna, bogato wyposażona w eksponaty z egzotycznych krajów. Świadczy ona o tym, że katoliccy misjonarze nie tłumią kultury ludów nawracanych, przeciwnie starają się zaszczepiać prawdę Chrystusową na glebie rodzimej danego kraju w ten sposób, ażeby uszlachetnić wszystkie lokalne przejawy kulturalne.

Z. R.

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

Annales Missiologicae — Roczniki misjologiczne. Czasopismo poświęcone zagadnieniom misjowiedzy. Poznań 1937 (rok 9), str. 484.

Kiedy przed paru tygodniami Ojciec św. gromił zwyrodniały hipernacjonalizm, wówczas podkreślił, że prawdziwy rasizm, wypływający z nacjonalizmu, najlepiej przedstawia się w Collegium Propagandy, gdzie przy jednym stole zasiadają przedstawiciele wszystkich ras. Jednym słowem ponad waśnie narodowe jedność całego rodzaju ludzkiego uzmysławiają doskonale misje katolickie, które praktycznie uczą miłości chrześcijańskiej wszystkich ludów bez wykluczania kogokolwiek. Oczywiste jest, że nie wszyscy mogą brać bezpośredni udział w walce na froncie misyjnym, ale nie mniej jasną jest rzeczą, że misje muszą mieć swoje zaplecze w krajach chrześcijańskich, które by modlitwami i ofiarami wspierały bohaterskie boje apostołów o dusze dla Chrystusa. Jednym ze środków propagandy na rzecz misji jest specjalna literatura poświęcona misjom, która krzewiąc o nich znajomość, przyczynia się do tego, by najrozmaitsi maruderzy pomagali wysiłkom misjonarzy. U nas w Polsce wychodzi od lat dziewięciu specjalne pismo poświęcone tym zagadnieniom. Pozostaje ono pod dyrekcją ks. prałata Kowalskiego, delegata Episkopatu

do Komitetu Propagandy misyjnej wśród inteligencji przy P. D. R. W. Dyrekcja zasłużonego misjologa odbija się na układzie rozpraw stanowiących olbrzymi tom (9), który mamy przed sobą. Po przedmowie redaktora docenta Koczego, idą rozprawy teoretyczno-ogólne poświęcone zagadnieniom kulturalnym. I tak J. Maritain pisze o katolicyzmie jako czynniku współpracy, a o. Strohal rozprawia nt. „Die Kulturelle Lage der Gegenwart". Przygrywka o. Charles'a nadaje się raczej do dalszych rozdziałów, niż do wyżej wymienionych, gdyż omawia on w „Palącym zagadnieniu" konieczność usprawnienia działalności i metody misyjnej. Rozdział IV przenosi nas w teren misyjny do dalekiej Japonii. P. Kubota, sekr. ambasady jap. w Brukseli daje nam wszechstronny obraz Krainy Wschodzącego Słońca od ekonomicznego do religijnego życia. Kpt. Ślusarczyk interesująco opisuje kulturę i obyczaje Nipponu. Od red. Babińskiego dowiadujemy się wiele ciekawych rzeczy o „Kilku charakterystycznych cechach Japończyka". O. Kolbe zaś przedstawia „Metodę misyjną i religijną Japonii". Wreszcie o. Król zarysowuje historię misyj w Japonii. V część poświęcona misjowiedzy, jej potrzebom, celom i środkom działania, obejmuje następujące referaty: ks. prał. Bajerowicza, Organizacja pomocy misyjnej (o powstaniu i organizacji P. D. R. W.), p. Nuszkowskiego, Praca literacka a akcja misyjna, p. Rylewicza, Propaganda idei misyjnej wśród organizacji akadem. i w szkołach średnich (doskonałe praktyczne uwagi), mgr. Domagalskiej, Nauczyciel pionierem idei misyjnej oraz mgr. Dobrzyckiej, Sylwetki misjonarzy w dziełach W. S. Maughama. VI część tworzy źródłowy przyczynek do dziejów polskich misji, pt.: Polska i krzyżacka misja w Prusach do połowy XIII w., pióra p. G. Labudy.

Potężny tom zamykają recenzje i indeksy. „Tolle lege".

W. Eborowicz

FR. LOUIS DE GONZAGUE O. M. C., *Femminisme et Evangile. Jésus et la femme.* Ed. Desclée et Brouwer et Cie. Paris.

Po przeczytaniu tytułu tej książki niejednego może ogarnie wątpliwość, czy słuszne jest rozróżnienie roli Ewangelii specjalnie w stosunku do kobiety. Przecież Chrystus przyszedł na ziemię, by bez różnicy wszystkim duszom ludzkim przywrócić utracone dziecięctwo Boże. A ponieważ z objawienia wiemy, że Bóg tę samą co do natury nieśmiertelną duszą kobietę i mężczyznę w raju obdarzył, więc czy zajść tu może jakakolwiek różnica?

Sam autor w pierwszej części swojej książki odpowiada nam zaraz na to pytanie. Kreśli najpierw rolę kobiety w pierwotnych zamiarach bożych, jako towarzyszki równej mężowi. Ale gdy przychodzi upadek ludzkości po grzechu pierworodnym, zaciera się ów plan kompletnie i na tle tego upadku szczególnie ponuro zarysowuje się dola kobiety. W świecie pogańskim zatraca ona swą godność i wolność. Traktowana jest jako przedmiot, istota rzędu niższego, której cel streszcza się jedynie do dostarczenia rozkoszy zmysłowych mężczyźnie i w utrzymywaniu ciągłości rodzaju ludzkiego.

Po przeczytaniu tych kartek zrozumiemy, że przyjście Chrystusa na ziemię niosło pod pewnymi względami szerszą jeszcze rehabilitację dla kobiety niż dla mężczyzny. Że Chrystus dopiero kobietę na właściwe jej miejsce powrócił, że od Niego w sposób najgłębszy i jedynie prawdziwie dla stanowiska kobiety owocny począł się wszelki ruch feministyczny, oto co nam autor pragnie dowieść w swojej książce. Nie postępuje, by dopiąć tego, bynajmniej w sposób naukowy, abstrakcyjny, ale prowadzi nas swobodnie za nicią Ewangelii. Zatrzymuje nas w roli słuchaczy i widzów przy wszystkich scenach, gdzie Chrystus znajduje się w kontakcie z kobietą. Z Jego powiedzeń i odru-

chów z głębokim zrozumieniem i wnikliwością snuje autor konkluzje, w których wykazuje jak doniosłą miały wagę owe sceny ewangeliczne dla całej przyszłości chrześcijańskiej cywilizacji. Wreszcie wraz z autorem zmuszeni jesteśmy dojść do wniosku, że żaden z najbardziej postępowych, błyskotliwych i obiecujących dla kobiety prądów feminizmu nowoczesnego nie da jej tego stanowiska w świecie, nie postawi ją na tak wysokim duchowo piedestale, na jakim ją Chrystus postawił. Dlatego jeśli nie zawiera on w sobie norm, tak ściśle i jasno w nauce Chrystusowej zawartych, iść za nim nie warto i nie można, bo jedynie w ramach naznaczonych przez Chrystusa, twardych czasem i wymagających nielada poświęcenia, osiągnie kobieta pełnię i wyraz najwyższej swojej istoty.

A. Wielopolska

CHANOINE F. MUGNIER, *Roi, Prophète, trêtre avec le Christ.* (Le Christ et le Chrétien). Paris, 1937, P. Lethielleux 12-mo, p. IX-229.

Ceniony autor kilkunastu dzieł religijnych wziął sobie za cel w obecnej książce uchylić nam rąbka tajemnicy współżycia Chrystusa-Głowy ze swym ciałem mistycznym i jego udziału w Chrystusowych przywilejach. Wziął więc pod uwagę urząd królewski, proroccki i kapłański Chrystusa, i w sposób bardzo przejrzysty a zarazem pociągający przedstawił, jak te trzy urzędy Boga-Człowieka urzeczywistniają się i powtarzają w Kościele i w każdym z chrześcijan. Poglądy swe poparł tekstami Pisma św. i całej nauki Kościoła oraz wykazał jak należy cenić te prawdy i korzystać z nich w codziennym naszym życiu wewnętrznym. Przy małej objętości, dużo cennej i solidnej treści.

E. G.

O. FIDELIS KĘDZIERSKI, Zak. oo. Bernardynów, *Św. Salwator z Horty*. Lwów 1938.

Równocześnie z naszym św. Andrzejem Bobolą, kanonizował Pius XI, Hiszpana, pokornego braciszka Zakonu Braci Mniejszych, odłamu znanego u nas pod nazwą Bernardynów, — św. Salwatora z Horty (ur. 1520, † 1567, kan. 1938). Św. Andrzej olśniewa purpurą strasznego męczeństwa, św. Salwator, brat zakonny, mnogością, niepoliczoną, *wielkich cudów*, dowodząc prawdy słów św. Pawła: „Małe świata Bóg wybrał, aby zawstydził mocne". Cuda te, były tak liczne, że dla uniknięcia rozgłosu, przełożeni musieli mu zmienić imię na Alfonsa; przenosić z klasztoru do klasztoru, bo mnóstwo nieszczęśliwych, oblęgających mury zakonne, mąciło ich spokój i ciszę. Przejawiła się w tym ostrożność Kościoła, a i bolesne próby spotykały świętego braciszka, kładąc znamię prawdziwości cudów. W spełnianiu ich zajaśniała potęga krzyża i Najśw. Maryi Panny, a szczególnie Anielskiego Pozdrowienia. Salwator wskrzeszał, leczył i pocieszał jednym gestem krzyża i zawsze zwrotem do Matki Boskiej, odmawiając: Zdrowaś Maryjo, tak, że cuda św. Salwatora nazwać można *Cudami Zdrowaś Maryjo!*

Książeczka jest zaledwie rysem tego przedziwnego życia. Napisana stylem jasnym, ale barwnym, czyta się jak zajmującą powieść. Jest przy tym zdobna kreskowanymi ilustracjami, jakie wykonał Tadeusz Kostrz, uczeń I kl. gimnaz. we Lwowie. Głównym jej celem jest wzbudzanie powołań na braci zakonnych, ale szerokie warstwy czcicieli św. O. Franciszka z Assyżu znajdą w świeżo kanonizowanym jego uczniu, przystępny i pociągający wzór do naśladowania.

O. Ż.

MARIA SZAFRANÓWNA, *Ku społecznej sprawiedliwości i miłości.* Biblioteka Wykładowa Katolickiego Związku Kobiet nr. 10. Poznań 1938. Str. 43, cena 0.40 zł.

Na tomik powyższy składają się dwa referaty: 1) „Katolickie zasady społeczne w pracy Oddziału Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet" i 2) „Katolickie zasady społeczne w wychowaniu rodzinnym". Nastawienie obu tych referatów jest wybitnie praktyczne, zawierają one cały szereg cennych, przystępnie ujętych wskazówek postępowania zarówno w życiu organizacyjnym jak prywatnym i mogą w dużej mierze przyczynić się do popularyzacji katolickiej myśli społecznej.

NADESŁANO DO REDAKCJI:

Ks. KAROL B. GARSIDE, *Prorok Karmelu*. Przekład z angielskiego. Wyd. „Bibliotheca Carmelitana", tom III-IV, Kraków 1938. Str. 140-149.

Ks. ROBERT MADER, *Z powrotem do Mszy św*. Przełożył z niemieckiego ks. J. Janus T. J. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1938. Str. 160.

Kalendarz Serca Jezusowego na rok Pański 1939. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1938. Str. 283. Cena 1 zł.

Nowy Testament. W przekładzie polskim o. J. Wujka T. J. — Wydanie nowe przejrzane i objaśnione. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków. Cena 2.50 zł.

Jan ŚNIEZNICA, *Zakład*. Cztery opowiadania dla młodzieży. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków. Str. 229. Cena 2 zł.

W obronie Chrystusa Króla. Dramat religijny w 7 odsłonach. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków. Str. 91. Cena 1.50 zł.

Prof. dr OSKAR HALECKI, *Małżeństwo Królowej Jadwigi w świetle historii*. Toruń 1938. Postulacja Kanonizacji Królowej Jadwigi na Pomorze. Str. 21. Cena 50 gr.

Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej:

ADOLF KARDYNAŁ BERTRAM, *W służbie ideałów Akcji Katolickiej*. Str. 585. Cena 7.50 zł.

H. DANIEL ROPS, *Nędza i my*. Str. 86. Cena 1.50 zł.

JENERAŁOWA JADWIGA ZAMOYSKA, *O pracy*. II wydanie przygotował do druku ks. dr Stanisław Bross. Str. 165. Cena 2.50 zł.

MARIA WINOWSKA, *Misja katolików we współczesnym świecie*. Str. 55. Cena 1 zł.

Uchwały I Polskiego Synodu Plenarnego odbytego w Częstochowie w dniach 26-27. VIII. 1936 oraz Orędzie Episkopatu Polskiego w sprawie uchwał Synodu. Str. 64. Cena 40 gr.

Ks. dr EMIL SZRAMEK, *Diecezja i parafia w prawie kanonicznym i w uchwałach I Polskiego Synodu Plenarnego*. Str. 20.

Ks. prof. dr WŁAD. WICHER, *Powołanie i zadanie kapłana*. Str. 12.

Prof. dr STEFAN GLASER, *Znaczenie i moc obowiązująca uchwał I Polskiego Synodu Plenarnego*. Str. 13.

Ks. dr ANTONI SZYMAŃSKI, *Katolicka myśl społeczna w uchwałach Synodu*. Str. 10.

Ks. IGNACY WALCZEWSKI, *Treść i znaczenie uchwał I Polskiego Synodu Plenarnego*. Str. 27.

Ks. dr ALOJZY POSZWA, *Małżeństwo i rodzina w uchwałach Synodu Plenarnego*. Str. 29.

Ks. prof. dr JULIAN PISKORZ, *Aktualne zagadnienia duszpasterstwa i jego metod współczesnych.* Str. 19.

Ks. J. ROSTWOROWSKI, *Hierarchia, jej źródło i znaczenie w życiu Kościoła.* Str. 22.

Ks. biskup dr JÓZEF GAWLINA, *Kościół wewnętrzny i zewnętrzny.* Str. 14.

Ks. dr WŁAD. PADACZ, *Prawno-organizacyjne zagadnienia Akcji Katolickiej w świetle uchwał Synodu.* Str. 21.

Ks. dr. Tadeusz GLEMMA, *Synody Prowincjonalne w Polsce porozbiorowej, ich wpływ na życie katolickie w kraju.* Str. 14.

ZOFIA KOSSAK, *Chrześcijańskie posłannictwo Polski w przeszłości i dziś.* Str. 12.

Dr STEFAN ŚWIEŻAWSKI, *Pełnia katolicyzmu w życiu osobistym i zbiorowym.* Str. 20.

Mgr TADEUSZ ROMER, *Prawne stanowisko i zadania katolików świeckich w Kościele.* Str. 18.

Ks. dr B. KOMINEK, *Eucharystia w życiu jednostki i rodziny.* Str. 16.

RAJMUND WENSIERSKI, *Poznanie i wykonanie uchwał I Polskiego Synodu Plenarnego szczytnym posłannictwem polskiego katolicyzmu.* Str. 8.

Superiorum permissu. De licentia Ordinarii.

Redaktor: *O. Bernard Przybylski O. P.*